

pasje

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

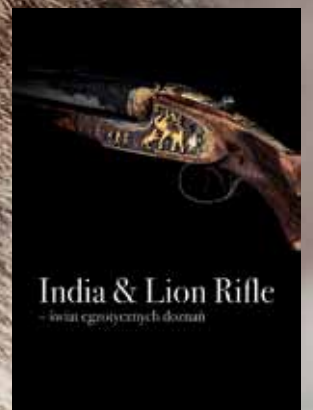
ISSN 2451-1641

3(4)/2017

WROCŁAWSKI MAGAZYN EKOLOGICZNO-ŁOWIECKI



**DZIKIE
ZWIERZĘTA
– NASI
NIEJSCY
SĄSIEDZI**





VRATISLAVIA MEDICA

SZPITAL IM. ŚW. JANA PAWŁA II
WE WROCŁAWIU

www.vratislavia-medica.pl



INWESTYCJA W ZDROWIE

Vratislavia Medica Szpital im. Św. Jana Pawła II jest jednym z najnowocześniejszych ośrodków medycznych w Polsce.

Vratislavia Medica to przede wszystkim indywidualne podejście do leczenia, obejmujące wielospecjalistyczny zespół medyczny z doświadczeniem klinicznym, szerokie spektrum zabiegów operacyjnych, nowoczesną rehabilitację i fizjoterapię oraz kompleksową diagnostykę.

NOWOCZESNOŚĆ Z TRADYCJAMI

- Ponad 50 lat doświadczenia
- Dwie nowocześnie wyposażone sale operacyjne
- Szeroki zakres zabiegów operacyjnych – ortopedia i neurochirurgia
- Unikalne programy rehabilitacji
- Specjalistyczne poradnie lekarskie
- Komfortowe pokoje dwuosobowe
- Jedyne szpital we Wrocławiu z basenem
- Apteka Mediceo Drive i sklep medyczny
- Transport i zabezpieczenie medyczne
- Lądowisko dla helikopterów

SKONTAKTUJ SIĘ Z NAMI
+48 71 387 66 00

VRATISLAVIA MEDICA SZPITAL IM. ŚW. JANA PAWŁA II
ul. Lekarska 1, 51 -134 Wrocław
rejestracja@vratislavia-medica.pl, www.vratislavia-medica.pl

Barykada padła – jak pisze „Łowiec Polski”. A dlaczego nie miałyby paść? Nikogo, kto choć trochę logicznie myśli i obserwuje zamęt w sprawie ASF, to nie zaskakuje. Jeśli ktoś nadto pokusił się o zdobycie odrobiny wiedzy, jak z tą chorobą zmagają się Hiszpania i Portugalia – 35 lat, czy Włochy – tu europejski rekord szybkości, bo tylko 7 lat, mógł się domyślić, że ASF przekroczy Wisłę. Na nic się zdały pohukiwania, groźby i kolejne obciążenia wraz z przerzucaniem w świadomości społecznej odpowiedzialności za ten stan rzeczy na etatowych chłopców do bicia – myśliwych. Z drugiej strony to ciekawa, choć nienowa, metoda odwracania uwagi od istoty problemu. Dzik nie przychodzi do chlewni zarażać jej mieszkańców. Staje się nosicielem choroby, gdy zarazi go swoim nierozważnym postępowaniem człowiek, a dokładnie hodowcy niestosujący się do zaleceń Inspekcji Weterynaryjnej.

Jak więc widać, sama depopulacja nie rozwiąże tego problemu, a jest on tak przedstawiany, jakby to właśnie było najlepszym sposobem załatwienia sprawy. Wprowadzono kolejne nakazy, których realizacja obciążona jest olbrzymią ilością i częstotliwością roboty papierkowej. Spada to głównie na winnych wszystkiemu wspomnianych już chłopców do bicia, bo to ich przebrzydła pasja powinna uratować kraj. No, chyba że chcą stracić obwody, bo i taką groźbę nad nimi zawieszono, jeśli nie zechcą polować. Tak jakby myśliwi wzbranieli się od tej czynności, zapatrzeni w słodki obrazek sarenki. Prowadzone przez PZŁ szkolenia weterynaryjne pogłębiają ich wiedzę i zapoznają z powagą sytuacji.

Trudno nie zadać sobie pytań: a co z bioasekuracją i kontrolą przywożonej do Polski żywności, obrotem trzodą na terenie kraju itd. O tym nic nie słyszymy, w przeciwieństwie do magicznego wręcz, przez wszystkie przypadki odmienianego słowa „depopulacja”. Oczywiście jest, że działania te wiążą się z kosztami, i to niemałymi. Ale dlaczego tylko myśliwi powinni je ponosić, a nie także inni, w imię dobra których mają działać?



*Gieplutenkich, rodzinnych i białych Świąt Bożego Narodzenia,
a Roku Nowego łaskami Świętego Huberta okraszonego
życzymy naszym Czytelnikom.*

Łowczy Okręgowy
Zarządu Okręgowego PZŁ

Roman Rycombelt

Prezes
Okręgowej Rady Łowieckiej PZŁ

Jacek Seniów



Zdjęcie: Łukasz Stokłosa

Między Wrocławiem a Władystokiem	4
Przyroda i człowiek – ochrona i współżycie	10
Cicha polska wieś spokojna...	14
Wilczy problem – i co dalej?	17
Czy wilk może być niebezpieczny dla człowieka?	23
Wilk pod Wrocławiem – historia prawdziwa	24
Odyńcowy jubileusz	26
Dlaczego łuk?	31
...a wiosną i latem bywa tu tak	34
India & Lion Rifle – świat egzotycznych doznań	40
Gospodarowanie populacją jelenia	46
Dzkie zwierzęta – nasi miejscy sąsiedzi	50
Pstryk... przed i po	54
Wachtelhund – towarzysz łowów	58
Z nożem i łukiem... za pan brat	62
Trzmielce. Kukułki w świecie owadów	66
Wołowski Bieg w Naturze	68



Pasje – Wrocławski Magazyn Ekologiczno-Lowiecki

Wydawca: Zarząd Okręgowy Polskiego Związku Łowieckiego we Wrocławiu
ul. Wodzisławska 10b, 52-017 Wrocław
tel.: 71 340 08 58, fax: 71 734 52 00
e-mail: zo.wroclaw@pzwol.pl

ISSN 2451-1641
Nakład: 1500 egz.

Kontakt do redakcji: pasje.pzl@gmail.com

Redaktor naczelny: Jacek Seniów
Rada Programowa: prof. Roman Kolacz (Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu) – przewodniczący, prof. dr hab. Tadeusz Trziszka (rektor Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu), prof. Józef Nicpoń (Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu), mgr inż. Adam Plaksej (dyrektor RDLP we Wrocławiu), mgr inż. Grzegorz Pietruńko (nadleśniczy Nadleśnictwa Łądek-Zdrój), dr Stanisław Han (Hasco-Lek), mgr Marian Samojluk, mgr Roman Rycombel (Łowczy Okręgowy ZO PZŁ Wrocław)
Fotografia na okładce: Fotolia
Opracowanie graficzne: GRART
DTP: Tomasz Stasiak
Druk: KEA Wrocław

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam, ogłoszeń, listów i materiałów sponsorowanych. Redakcja ma prawo odmówić zamieszczenia ogłoszenia i reklamy, jeśli ich treść lub forma są sprzeczne z linią programową bądź charakterem pisma (art. 36, p. 4 Prawa prasowego) oraz interesem wydawnictwa. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo skrótnego i opracowania redakcyjnego tekstów przyjętych do druku oraz prawo nieodpłatnego publikowania listów. Redakcja zastrzega sobie również możliwość nieodpłatnego wykorzystania publikowanych materiałów na własnych stronach internetowych i stronach wydawcy. Przedruki z magazynu Pasje dozwolone są wyłącznie za uprzednią zgodą Wydawcy.

Druk dofinansowany ze środków Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej we Wrocławiu.
Poglądy autorów i treści zawarte w publikacji nie zawsze odzwierciedlają stanowisko WFOŚiGW we Wrocławiu.





Między Wrocławiem a Władystokiem

Rozmowa z Jarosławem Łukojko, dyrektorem generalnym AREA Cooling Solutions

Rozmawiał Jacek Seniów

Zdjęcia: Tomasz Stasiak, Jarosław Łukojko, AREA Cooling Solutions

– *Jesteś myśliwym, czym jest dla Ciebie łowiectwo?*

– Odpowiem górnolotnie: łowiectwo to wielka swoboda dla ciała, umysłu i ducha. Znajdując się w obwodzie łowieckim, regeneruję się, odnawiam siły na każdym poziomie. Na łonie przyrody jest szansa na odcięcie się od tysiąca myśli związanych z codziennym życiem i biznesem, a jednocześnie możliwość otwarcia umysłu na sprawy ponadczasowe... Najczęściej wolę jednak uwolnić głowę od niepotrzebnych myśli i obserwować przyrodę.

Od starszych kolegów, doświadczonych w tej pasji, nauczyłem się, że „jeśli zwierzę widziane to polowanie udane” i nie ma tu obowiązku strzału. Najczęściej poluję z podchodu (aby się trochę poruszać) i nic nie daje większej satysfakcji, niż podejście do watahy dzików lub odyńca na kilkanaście metrów.

Do łowiectwa doszedłem trochę przypadkowo, choć zawsze pociągały mnie wypadki w teren, głusze leśne czy otwarte pola. Wielu moich klientów i partnerów biznesowych polowało i zapraszało mnie na polowania towarzysko. Pewnego razu dałem się namówić na kilkudniową wyprawę łowiecką w lasach słupskich. Wrażenia były niesamowite: noc spędzona w puszczy, odgłosy żerujących dzików, chmary jeleni o świcie – kto raz przeżyje te emocje, a czuje w sobie pasję odkrywcy, nigdy już o tym nie zapomni i będzie chciał to powtarzać. Łowiectwo to inny, piękny, naturalny świat. Wtedy zostałem kandydatem na myśliwego, a było to w roku 2000. W roku 2002, po zdaniu egzaminów, zostałem formalnie przyjęty do PZŁ.

– *Najwspanialsze przygody łowieckie?*

– Praktycznie każde wyjście do łowiska to nowe, inne przeżycie i doświadczenie. Jako „młody”, już na kursie usłyszałem, że każdy myśliwy powinien polować z psem. Wziąłem to sobie do serca, a ponieważ miałem już psa, suczkę o imieniu Mika, mieszańca

znajdę przygarniętą z ulicy, postanowiłem uczynić z niej psa myśliwskiego. Byłem sceptyczny, ale coś miałem zrobić, moja żona wtedy raczej nie zgodziłaby się na drugiego, rasowego psa – tylko do polowań. Mika wykazywała pewne cechy psa myśliwskiego, tj. świetnie łapała myszy, które zwykle zimowały w naszym garażu. Byłem jednak ostrożny w traktowaniu jej jako psa myśliwskiego. Pewnego razu postanowiłem zabrać ją na polowanie. Było to zaraz na początku jej kariery jako psa myśliwskiego. Był już zaawansowany zmierzch i szliśmy pod wiatr wzdłuż kukurydzy w pewnej odległości od jej skraju. Śpieszyłem się tym razem na zasiadkę na ambonie, dlatego poganiałem ją. W pewnej chwili Mika zaczęła się ociągać, a na moje przywoływania do dyscypliny zatrzymała się i przysiadła. Pomyślałem tylko „głupia suka”. Podszedłem do niej, ona nie zwracając na mnie uwagi, przywarowała, cicho warknęła i w tym momencie z kukurydzy wyszła na nas w odległości około dwudziestu pięciu metrów wataha pięciu dzików. Wiatr mieliśmy dobry, a one nie zauważyły nas. Zdążyłem przykucnąć i przyłożyć dryling do ramienia. Dziki szły na nas, a ręce mi się trzęsły... Jeden z dzików zatrzymał się około dwudziestu metrów od nas, „na sztych”, zauważył, że coś było nie tak. Mika była podniecona, ale trzymała emocje na wodzy – nawet nie pisnęła, tylko wpatrywała się w idącego na nas zwierzę. Przycełowałem... i dzik był nasz... – dzięki Mice. Zacząłem wtedy rozumieć, dlaczego powinno się polować z psem. Polowałem z nią dwanaście lat, aż odeszła do „krainy wiecznych łowów”. Później, przebywając w Rosji, polowałem z łajką zachodniosyberyjską. Obecnie od ośmiu lat poluję z labradorem o imieniu Ksenon, a ostatnio przyuczam do polowań gończego polskiego o imieniu Argon – straszny łobuz.

Koledzy, polujcie z psem, polecam!

– *Bezkresne stepy i tajga, jak się tam znalazłeś?*

– Pewien okres mojej kariery menadżerskiej spędziłem w Rosji. To dopiero kraj dla łowców przygód i miłośników dzikiej przyrody! Tam, jeśli już ktoś ma żyłkę odkrywcy, jest jednocześnie i myśliwym, i wędkarzem. W Rosji sytuacja powtórzyła się, z tym że tym razem to zdecydowana większość moich klientów i partnerów biznesowych polowała lub wędkowała. Nie miałem już wyboru, „musiałem” przyjmować zaproszenia na wypady w tajgę i tundrę. Zresztą robiłem to wolnym czasie bardzo chętnie.

Polowanie tam jest inne. Lasy są bezkresne. Tuż pod Moskwą rozciągają się po kilkadziesiąt kilometrów w każdą stronę. Lasy są dzikie, niezagospodarowane, bez dróg działowych. Wejście do nich bez znajomości terenu lub GPS często kończy się zaginięciem na wiele dni lub nawet tygodni, a nawet gorzej. Nie ma żartów... Polowanie bez psa w praktyce jest niemożliwe. Poluje się najczęściej z łajkami, a zwierzynę lokalizuje się po głosie psa. Zadaniem łajki, a najlepiej dwóch, jest zatrzymanie zwierza do czasu dojścia myśliwego. Wielokrotnie brałem udział w polowaniach z łajkami, podczas których nie widziałem zwierzyny, tylko słyszałem gon psów, a polowanie kończyło się bez zdobyczy. Mimo to wrażenia niesamowite...

Miałem tam okazję polować na łosie w obwodzie jarosławskim, gdzie na obszarze mniejszym od Polski jest zinwentaryzowanych ponad trzysta tysięcy łosi i około tysiąca niedźwiedzi. Pewnego razu w okresie bukowiska rosyjski jeger podprowadzający grupę myśliwych, w której byłem, wabił łosia na skraju mokradła. Odgłosu „galopującego” po mokradłach byka łosia w naszym kierunku jako odpowiedzi na wyzwanie „wymagowanego” rywala nigdy nie za-

zmieszanych z dzikim owsem wyłoniła się niedźwiedzica. Była zaskoczona, tak jak i my. Nie wyczuła nas wcześniej, ponieważ wiał silny wiatr w naszą stronę, ani nie usłyszała nas, bo tajga szumiała bardzo głośno. Nie widzieliśmy się nawzajem, gdyż pasła się z młodymi niedźwiadkami w wysokiej trawie. W końcu wyczuła nas. Stała na tylnych łapach i starała się złapać nasz odwiatr. Nie mogąc tego zrobić, po chwili zaczęła nas obchodzić i... na całe szczęście odeszła.

W tym samym czasie jeger, będąc „na pierwszej linii”, skakał, krzyczał i machał rękami. Tłumaczył mi potem, że robił to samo, co niedźwiedzica, tj. „stał na tylnych łapach”, aby pokazać, że jest duży, groźny, by ją wystraszyć. Nie wiem, czy ją wystraszył – wydaje mi się, że ona już chyba najadła się dość owsa i nie miała ochoty na deser. Ja cały czas stałem jak zamurowany, ale to wszystko trwało może kilkanaście sekund.

Po tej przygodzie nie dałem się już namówić na polowanie na niedźwiedzica, chociaż było w planie, emocji miałem dość... Od tamtej pory mój szacunek do dzikiej przyrody wzrósł ogromnie.

Podczas mojego długiego pobytu w Rosji miałem też okazję spędzić czas na polowaniu i wędkarstwie za kręgiem polarnym. Na dalekiej Syberii – tam, gdzie rzeka Jana wpada do północnych mórz, osiem tysięcy kilometrów od Moskwy, a dziesięć tysięcy od rodzinnego Wrocławia. Gdzie dostać się możesz tylko samolotem lądującym na klepisku i to tylko w lecie, a do najbliższej osady musisz płynąć łodzią motorową kilkadziesiąt kilometrów po wodnych „pustkowiach”. Gdzie do przeżycia ważny jest każdy drobiazg i nie możesz ich mieć za dużo: „broń, amunicja, zapaliki i wódka” jak mawiali miejscowi. Gdzie jesteś tylko ty i twoi towarzysze. Dosłownie brak wszelkiej łączności



pomnę... Byłem też pojedynczo podprowadzany na byka łosia przed zmrokiem. Skończyło się to tym, że natknęliśmy się z jegerem na niedźwiedzicę z dwoma małymi pasącą się na zdziczałym polu owsa. Było to podczas silnego wiatru i ogromnego szumu tajgi nim spowodowanego. Zamiast zastać tam łosia, około dwudziestu pięciu metrów przed nami z traw

ze światem, o telefonach komórkowych można zapomnieć, należą do zbędnego wyposażenia.

Nie zapomnę też konnego polowania z sokołami, na które zaprosił mnie jeden z przyjaciół, myśliwy i właściciel stajni. Zapraszał mnie przez kilka lat, ale ponieważ nie jeździłem konno, to odmawiałem. Przyszedł jednak czas, gdy podczas przyjacielskiego

spotkania wymuszono na mnie obietnicę, że się nauczę jeździć i przyjadę na to polowanie. Dla świętego spokoju obiecałem. Ale na trzy miesiące przed planowanym polowaniem waga danego słowa spowodowała, że podjąłem intensywną naukę jeździectwa. Raczej była to nauka utrzymania się na koniu podczas przewidywanych galopów po stepie, jak mnie uprzedził mój przyjaciel, właściciel stajni. Nauka była intensywna i niełatwa. Polowanie wywarło na mnie ogromne wrażenie. Trzynastu jeźdźców (w tym ja) stanowiło tyralierę i z wiatrem nagańało zwierzynę. Po drugiej stronie stali sokolnicy z psami i reagowali na uchodzącą zwierzynę drobną. Mój test jeździecki zaczął się podczas przemieszczania się jeźdźców w inną część łowiska, około trzech kilometrów. Gdy konie ruszyły galopem przez step (około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i więcej), moje marzenie było jedno – utrzymać się w siodle. Udało się i dzisiaj kontynuuję tę nową pasję, łącząc ją z łowiectwem. Często jeżdżę konno do lasu, obserwuję zwierzynę z innej perspektywy, z wysokości siodła.

– Zdaje się, że Twoje obecne miejsce pracy też ma coś do zaoferowania łowiectwu?

– Moje przeżycia myśliwskie w Rosji opisane wyżej były związane z aktywnością zawodową w firmie Viesmann, którą zarządzałem na rynku rosyjskim. Viesmann to jeden z najlepszych na świecie producentów kotłów grzewczych dla instalacji nie tylko domowych, ale i przemysłowych. Po powrocie z Rosji zmieniłem branżę ciepłowniczą na chłodniczą. Zarządzam obecnie w Polsce firmą Area Coolings Solution sp. z o.o. Jest to jeden z największych w Polsce producentów komercyjnych i przemysłowych urządzeń chłodniczych. Jest to firma z kapitałem hiszpańsko-duńskim i jest częścią



ju urządzeń chłodniczych. Tutaj produkujemy wyroby nie tylko na rynek polski, ale i europejski, a także poza Europę. W naszej ofercie znajdują się urządzenia chłodnicze w zakresie mocy od 4 kW do 1000 kW. To agregaty, zespoły chłodnicze i chillery. Mają one zastosowanie w technologiach produkcyjnych w przemyśle spożywczym, tworzyw sztucznych, przechowywaniu owoców i warzyw, w przemyśle mleczarskim oraz mięsnym. Na ich bazie buduje się między innymi różnej wielkości komory chłodnicze i mroźnicze (w tym do przechowywania wyrobów mięsnych). Użytkownikami naszych urządzeń są między innymi takie firmy jak Amrest (restauracje KFC), sieci sklepów Biedronka, Żabka i Dino oraz Carrefour i Metro. Naszym klientem jest jeden z największych w Polsce, i nie tylko, produ-



holdingu o tej samej nazwie z siedzibą w Barcelonie. W Polsce, w Nowej Wsi Wrocławskiej na skraju Wrocławia, mamy ulokowany zakład produkcyjny. Jest tu też centrum rozwojowe i projektowe dla całego holdingu. Obrót grupy to ponad dwadzieścia dwa miliony euro i zatrudnienie ponad sto osób. W tym roku planujemy wyprodukować ponad cztery tysiące różnego rodzaju

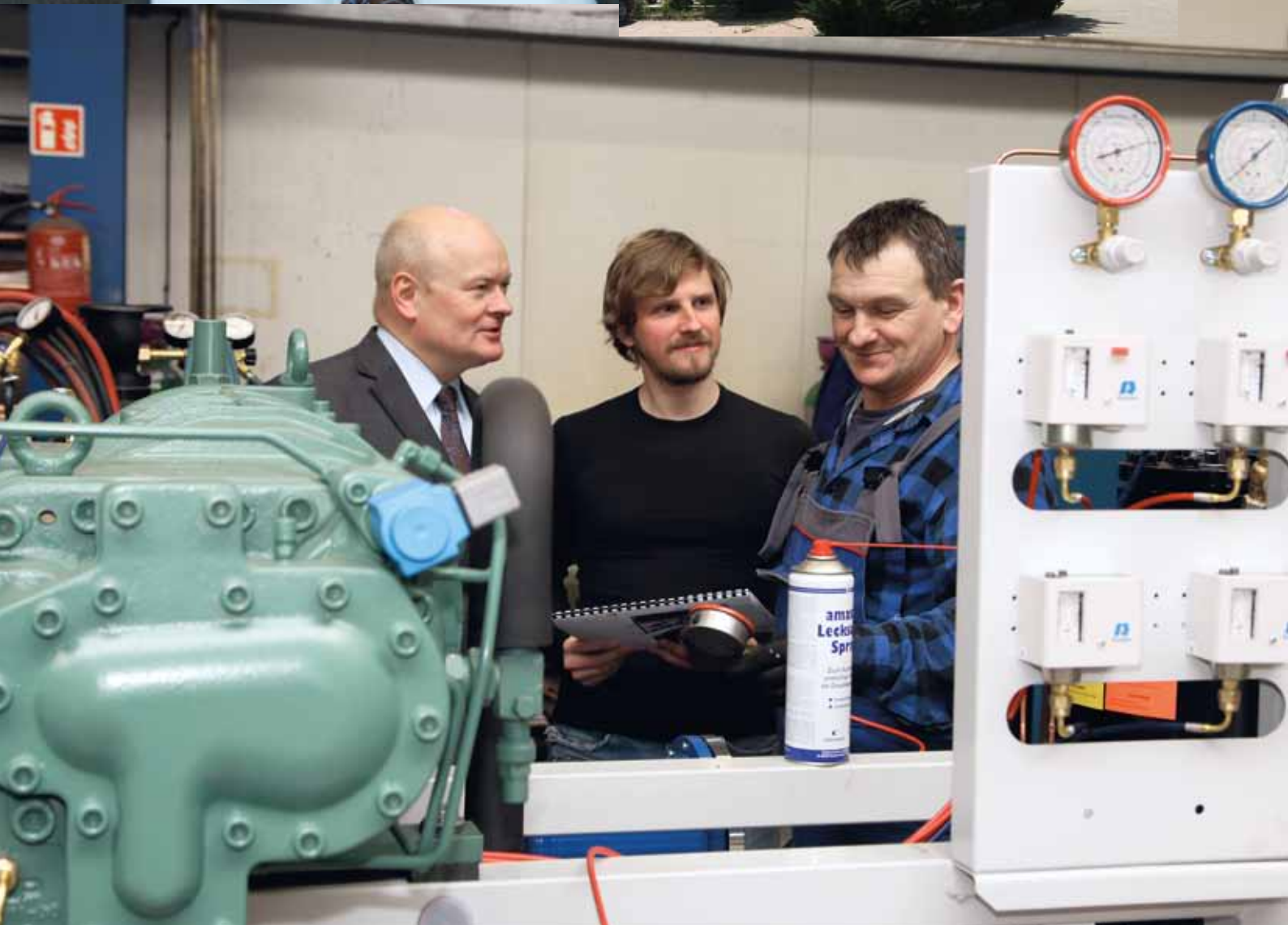
centów maszyn do przeróbki mięsa – firma Metalbud z Rawy Mazowieckiej. Zaś wynikiem polowania jest doskonałej jakości mięso – dziczyzna, która powinna być poddana szczególnie troskliwej obróbce.

Jesteśmy jedną z pierwszych firm w Europie, która na masową skalę jako standard w chłodnictwie upowszechniła technologię inwerterową w regulacji wy-



dajności urządzeń co w znacznym stopniu obniżyło zużycie energii podczas eksploatacji instalacji chłodniczych. Aktualnie wprowadzamy na rynek najnowszej generacji, ekologiczne urządzenia na naturalny czynnik chłodniczy, którym jest dwutlenek węgla. Są to niewątpliwie działania proekologiczne.

Zapraszam do współpracy wszystkich Kolegów, którzy mają do czynienia w swojej aktywności zawodowej z chłodnictwem, a potrzebują profesjonalnego doradztwa, pomocy w doborze urządzeń chłodniczych do istniejących instalacji czy do nowych projektów. Jako producent działający na rynku polskim od 1995 roku współpracujemy z doświadczonymi firmami zajmującymi się projektowaniem, wykonawstwem oraz serwisem. Chętnie doradzimy we właściwym doborze i dostarczymy urządzenia oraz pomożemy w prawidłowym ich montażu i uruchomieniu.



Europejski producent i dostawca urządzeń chłodniczych



OBSZARY DZIAŁALNOŚCI

Branże: Chłodnictwo, Klimatyzacja.

Działalność główna: Produkcja, Handel/Dystrybucja, Projektowanie/Doradztwo.

Specjalizacja: Komponenty i urządzenia dla chłodnictwa przemysłowego i komercyjnego oraz klimatyzacji.

Urządzenia dedykowane do potrzeb:

- przemysłu mięsnego
- przemysłu mleczarskiego
- przechowywania owoców i warzyw

www.area.pl



Area Cooling Solutions Sp. z o.o. jest jednym z największych w Polsce producentów freonowych urządzeń chłodniczych takich jak: agregaty skraplające, zespoły sprężarkowe, agregaty wody lodowej oraz wszelkiego rodzaju urządzenia chłodnicze wykonywane wg indywidualnych specyfikacji klienta.

Firma swoim zasięgiem działania obejmuje rynki Europy Wschodniej, Środkowej oraz Zachodniej. W Polsce zaistniała w 1995 roku i od tego czasu wypracowała sobie pozycję lidera w dostawie urządzeń i komponentów dla branży chłodniczej. Oprócz własnych produktów firma oferuje całą gamę komponentów do chłodnictwa i klimatyzacji (sprężarki, chłodnice, skraplacze, zbiorniki, automatykę, sterowniki).

Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom rynku firma oferuje dobór urządzeń oraz wsparcie i doradztwo firmom montażowym przy kompleksowej realizacji inwestycji chłodniczych. Podstawę projektów rozwojowych prowadzonych w Area Cooling Solutions stanowią zagadnienia dotyczące ekologicznych czynników chłodniczych o niskim współczynniku GWP, w tym CO₂, oszczędności energii, koszty efektywnego utrzymania urządzeń oraz ograniczenia prawne (Ecodesign, EN378-2016).

Rozwinięte standardy pracy oraz nastawienie na klienta tworzą z firmy Area Cooling Solutions solidnego partnera w interesach. Świadectwem pracy zgodnej z europejskimi standardami jest przyznawany od 2003 r. certyfikat ISO PN-EN 9001:2009.

AREA Cooling Solutions Sp. z o.o., ul. Relaksowa 27, 55-080 Nowa Wieś Wrocławska, Tel. +48 71/ 3545624, 71/ 3545622

www.area.pl / area@area.pl

AREA Cooling Solutions Oddział Gdynia, ul. Chwaszczyńska 70, 81-571 Gdynia, Tel. +48 58/ 778 90 43

AREA Cooling Solutions Oddział Katowice, ul. Roździeńskiego 188A, 40-203 Katowice, Tel. +48 32/ 353 08 75

AREA Cooling Solutions Oddział Warszawa, ul. Puławska 506/508, 02-884 Warszawa, Tel. +48 22/ 463 43 20

Przyroda i człowiek – ochrona i współzycie

Rozmowa z Michałem Jęczem – Dyrektorem Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska we Wrocławiu



Rozmawiał Jacek Seniów

Zdjęcia: Tomasz Stasiak

– RDOŚ to...?

– Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska (RDOŚ) to urząd administracji państwowej na szczeblu województwa, który powstał na mocy ustawy z 3 października 2008 roku o udostępnianiu informacji o środowisku i jego ochronie, udziale społeczeństwa w ochronie środowiska oraz o ocenach oddziaływania na środowisko (zwanej popularnie ustawą ocenową).

Pracą Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska we Wrocławiu kieruje Regionalny Dyrektor Ochrony Środowiska, który jest powoływany przez Generalnego Dyrektora Ochrony Środowiska. Regionalny Dyrektor Ochrony Środowiska we Wrocławiu realizuje zadania dotyczące zarządzania ochroną przyrody, kontroli procesu inwestycyjnego, zapobiegania i naprawy szkód w środowisku oraz udostępniania informacji o środowisku na obszarze województwa dolnośląskiego. W ramach swoich kompetencji RDOŚ wydaje również akty prawa miejscowego w postaci zarządzeń (np. plany ochrony rezerwatów przyrody czy plany zadań ochronnych dla obszarów Natura 2000).

Warto przy tym wspomnieć, że geneza samej ustawy „ocenowej”, a co za tym idzie geneza GDOŚ i RDOŚ, sięga trochę dalej niż roku 2008. Ochrona przyrody w Polsce ma długą, sięgającą średniowiecza historię. Obecnie regulacje prawne w tym zakresie można określić jako połączenie krajowych i europejskich rozwiązań, co ma oczywiście związek z przystąpieniem Polski do Unii Europejskiej w 2004 roku. Ważną kwestią, mającą również odzwierciedlenie w przepisach UE oraz krajowych, jest zasada zrównoważonego rozwoju, której źródeł należy szukać w światowym kryzysie ekologicznym w drugiej połowie XX wieku, a która z czasem stała się fundamentalną zasadą ochrony środowiska na świecie i obowią-

zuje do dziś. Model zrównoważonego rozwoju łączy trzy aspekty: społeczny, gospodarczy i środowiskowy. Zakłada równowagę pomiędzy dobrem społeczeństw, rozwojem gospodarczym a ochroną środowiska. Jednym z podstawowych narzędzi realizacji tej zasady w praktyce są procedury ocen oddziaływania na środowisko planów, programów bądź planowanych inwestycji, w których to procedurach RDOŚ odgrywa kluczową rolę.

Oprócz naszych głównych zadań, które są w istocie rzeczy zadaniami typowo administracyjnymi, zajmujemy się również szeroko rozumianą promocją postaw i działań proekologicznych, np. w ramach systemu ekozarządzania i audytu EMAS. W tym zakresie możemy





pochwalić się tym, że nie ograniczamy się jedynie do zachęcania innych podmiotów do uczestnictwa w EMAS, ale sami jako RDOŚ przeszliśmy całą procedurę wdrażania tego systemu zgodnie z wymogami rozporządzenia Parlamentu Europejskiego i Rady (WE) oraz uzyskaliśmy wpis do rejestru EMAS.

– Na jakie problemy myśliwi powinni zwracać szczególną uwagę w swojej działalności?

– Łowiectwo jest działalnością podlegającą wielu regulacjom, w tym szczególnie przez ustawę Prawo łowieckie wraz z aktami wykonawczymi. Na styku łow-

wiektwa z ochroną przyrody kluczowym problemem w mojej ocenie jest praktyczna umiejętność odróżniania gatunków łownych i chronionych. Być może dla wielu myśliwych ta kwestia wydaje się oczywista, ale żeby uniknąć niepotrzebnych kłopotów wynikających z ewentualnej pomyłki (a przypomnieć należy, że sankcje z tego powodu mogą być dotkliwe – art. 181 ustawy Kodeks karny) konieczne jest stałe szkolenie myśliwych z zakresu znajomości i umiejętności rozpoznawania gatunków chronionych, a także bezwzględne przestrzeganie zasady: strzelamy tylko do rozpoznanego celu.

– Jakie są możliwości współpracy pomiędzy RDOŚ a związkiem i szeregowym myśliwym?

– Z punktu widzenia RDOŚ, jako instytucji odpowiedzialnej m.in. za ochronę przyrody, w tym ochronę gatunkową, działalność Polskiego Związku Łowieckiego, która przecież nie ogranicza się wyłącznie do polowania, ale obejmuje wiele innych działań, w tym również w zakresie szeroko rozumianej ochrony przyrody czy edukacji przyrodniczej, stwarza duże możliwości współpracy. W wielu kwestiach nasze działania zazębiają się, np. szacowanie szkód łowieckich. Na terenach rezerwatów przyrody (wyłączonych z obwodów łowieckich) szacowaniem szkód i wypłacaniem odszkodowań zajmuje się właśnie RDOŚ.



RDOŚ we Wrocławiu, jako instytucja powołana m.in. do ochrony przyrody, stara się również dostrzegać realne problemy związane np. ze zwierzętami, które uciierały na skutek kolizji drogowych lub innych (zamierzonych lub nie) działań ludzkich. Ustawa o ochronie przyrody stwarza możliwości powoływania specjalnych ośrodków, których głównym zadaniem jest leczenie i rehabilitacja zwierząt dziko występujących, wymagających okresowej opieki człowieka w celu przywrócenia ich do środowiska przyrodniczego. Ośrodki takie funkcjonują na podstawie zezwolenia Generalnego Dyrektora Ochrony Środowiska i podlegają okresowym kontrolom RDOŚ. Obecnie na Dolnym Śląsku istnieje siedem ośrodków rehabilitacji zwierząt, a RDOŚ we Wrocławiu jest bodajże jedyną instytucją, która corocznie wspiera te ośrodki finansowo.

Myślę, że jedną z najważniejszych kwestii, która łączy działalność RDOŚ i PZŁ jest troska o ochronę bioróżnorodności. O ile na terenach leśnych nie widać jakichś szczególnych zagrożeń w tym zakresie, o tyle na obszarach polnych obserwujemy niepokojące zmiany i wspieramy wszelkie działania (w tym również podejmowane przez PZŁ) mające na celu ich odwrócenie, np. restytucja gatunków zagrożonych czy ochrona śródpolnych remiz, zadrzewień i zbiorników wodnych.

Innym ważnym elementem łączącym RDOŚ i PZŁ jest współpraca przy opiniowaniu wielu istotnych decyzji w zakresie ochrony przyrody. Dzieje się to poprzez członkostwo przedstawiciela Zarządu Okręgowego PZŁ we Wrocławiu w Regionalnej Radzie Ochrony Przyrody, która jest organem opiniodawczo-doradczym w zakresie ochrony przyrody, działającym przy RDOŚ.

– Czy myśliwy powinien obawiać się RDOŚ?

– Jestem przekonany, że nie tylko myśliwy, ale nikt nie musi obawiać się RDOŚ. Nie jesteśmy tacy straszeni, jak się nas maluje. Mówiąc poważnie, RDOŚ nie został powołany jako organ ścigania czy też inspekcji w zakresie ochrony środowiska (to leży w kompetencjach Policji oraz Inspekcji Ochrony Środowiska). Myślę, że przez ten prawie dziesięcioletni okres funkcjonowania RDOŚ pokazaliśmy się jako nowoczesna i sprawna instytucja, której głównym celem jest wspomaganie procesów rozwojowych przy jednoczesnym zachowaniu najcenniejszych zasobów przyrodniczych oraz standardów ochrony środowiska. Nasze działania spotykają się z coraz większym uznaniem społecznym, czego wyrazem może być np. przyznanie RDOŚ we Wrocławiu w 2016 roku Lauru Ekoprzyjaźni przez Stowarzyszenie EkoNatura.



Cicha polska wieś spokojna...



Rozmawiał Jacek Seniów

Zdjęcia: Tomasz Stasiak, KŁ „Leśnik” Dębno

Dębno, mała wieś pod Wołowem, opodal biegnie rzeka Odra i jest miejsce, gdzie Bolesław Chrobry się przez nią przeprawiał. Rozmawiam z Kolegą Dariuszem Gałą, łowczym Koła Łowieckiego „Leśnik” Dębno, leśniczym Leśnictwa Tarchalice i jednym z pionierów polskiej arborystyki.

– *Jakie były początki koła?*

– Koło nasze powstało w 1949 roku. W ówczesnym Dębnie było nadleśnictwo oraz szkoła leśna z internatem i to leśnicy, stąd nazwa koła, powołali je do życia. Niestety, nie mamy dokładnie udokumentowanych tych chwil. Może dlatego, że czasy były nie najłatwiejsze i nasi poprzednicy bardziej żyli chwilą bieżącą oraz jej trudami. Wiemy, że było ich dwunastu, z których w dokumentach pozostały nazwiska: Cybel, Kozierski, Majewski, Skrzypek i Wróbel. Początkowo dzierżawiliśmy obwód łowiecki o powierzchni 16 000 hektarów. Ostatecznie, po kolejnych zmianach, od 1967 roku obwód nasz ma 6190 hektarów, a w tym prawie 4000 hektarów lasu. Od wielu lat gospodarujemy na dwóch stawach, prowadząc hodowlę karpia. Od dziesięciu lat jesteśmy ich właścicielami. W działaniu tym korzystamy z programów unijnych. Dzierżawimy też trzydzieści hektarów gruntów ornych, prowadząc uprawy związane z hodowlą zwierzęcych. Obwód nasz jest niezwykle bogaty i urokliwy przyrodniczo. W 1994 roku na znacznej jego części utworzono Park Krajobrazowy „Dolina Jezierzycy”. Na jego terenie występuje około 500 gatunków roślin, 190 gatunków ptaków oraz 38 gatunków ssaków. Ze względu na bogactwo flory i fauny planuje się utworzenie kolejnych rezerwatów przyrody i użytków ekologicznych. Część z nich już funkcjonuje. W parku krajobrazowym jest wiele pomników przyrody. Jeden z nich – sosna o obwodzie 220 centymetrów – rośnie na terenie obwodu naszego koła. Po parku krajobrazowym turyści mogą wędrować pięcioma szlakami turystycznymi.

– *A dzisiejsza sytuacja w kole?*

Duża lesistość obwodu ma niewątpliwie wpływ na wielkość szkód łowieckich, które są dla każdego koła największą zmartów finansową. Ponadto praktycznie nie mamy na terenie obwodu dużych, wielkotowarowych gospodarstw rolniczych. Z miejscowości

wymi rolnikami od lat utrzymujemy bezpośrednie, często przyjacielskie kontakty, co znacznie ułatwia rozwiązywanie problemów szkód łowieckich. Dużym osiągnięciem koła jest właśnie atmosfera zrozumienia i życzliwości pomiędzy nim a mieszkańcami wiosek znajdujących się w granicach obwodu. Organizujemy biesiady myśliwskie, w sumie cztery w roku: hubertowską, karnawałową oraz majówkę na naszych stawach. Wszystko to jest okazją do spotkań myśliwych z lokalną społecznością i rozmów o łowiectwie. Tłumaczymy, czym jest, jaka jest jego rola oraz kim jesteśmy my, myśliwi. Postrzegają nas nie jako „zgraję, która strzela i wynosi z lasu”, ale jako ludzi, którzy gospodarzą zasobami przyrody. Wkładają w to swoją pracę i swoje środki materialne, za co całość ma także korzyści dla nich, tutejszych mieszkańców. Poszukujemy w ten sposób i pozyskujemy ambasadorów łowiectwa. W naszych imprezach biorą również udział przedstawiciele lokalnych władz, nauczyciele, księża i młodzież oraz dzieci. Smak i aromat dzicyzny tam serwowanej ułatwia te kontakty i potęguje ich efekty.

Zakupiliśmy gospodarstwo z przeznaczeniem na siedzibę koła, w której ma powstać, pierwsza w tej okolicy, sala poświęcona edukacji ekologicznej. Nie jest to skutkiem czyjegoś kaprysu, ale wią-





że się z szerszą działalnością edukacyjną koła na zewnątrz. Od lat współpracujemy ze szkołami ze Starego Wołowa i Krzydliny Wielkiej. Jak to się mówi – „czym skorupka nasiąknie za młodu...”. Te kontakty z młodzieżą i dziećmi mają wiele uroku. Z jednej strony my robimy im pogadanki o przyrodzie i łowiectwie, zapraszamy na wycieczki do lasu, gdzie teoria się materializuje, z drugiej młodzież zaprasza nas do siebie na przedstawienia teatralne, występy związane np. z tradycją hubertowską. Bywa, że liczba chętnych na zabawę karnawałową czy majową przekracza nasze możliwości organizacyjne. Trzeba zamykać listę, przeproszać kolejnych chętnych, zapraszając na następne spotkanie.

Obecnie jest nas 35 i jesteśmy jednym z ośmiu kół łowieckich w powiecie wołowskim. Z sąsiednim kołem „Daniel” organizujemy wspólne polowania hubertowskie. Byliśmy też współorganizatorami dwóch integracyjnych wielkich powiatowych polowań hubertowskich – jednocześnie dla wszystkich myśliwych kół wołowskich i odbywających się w jednym czasie w wielu obwodach.

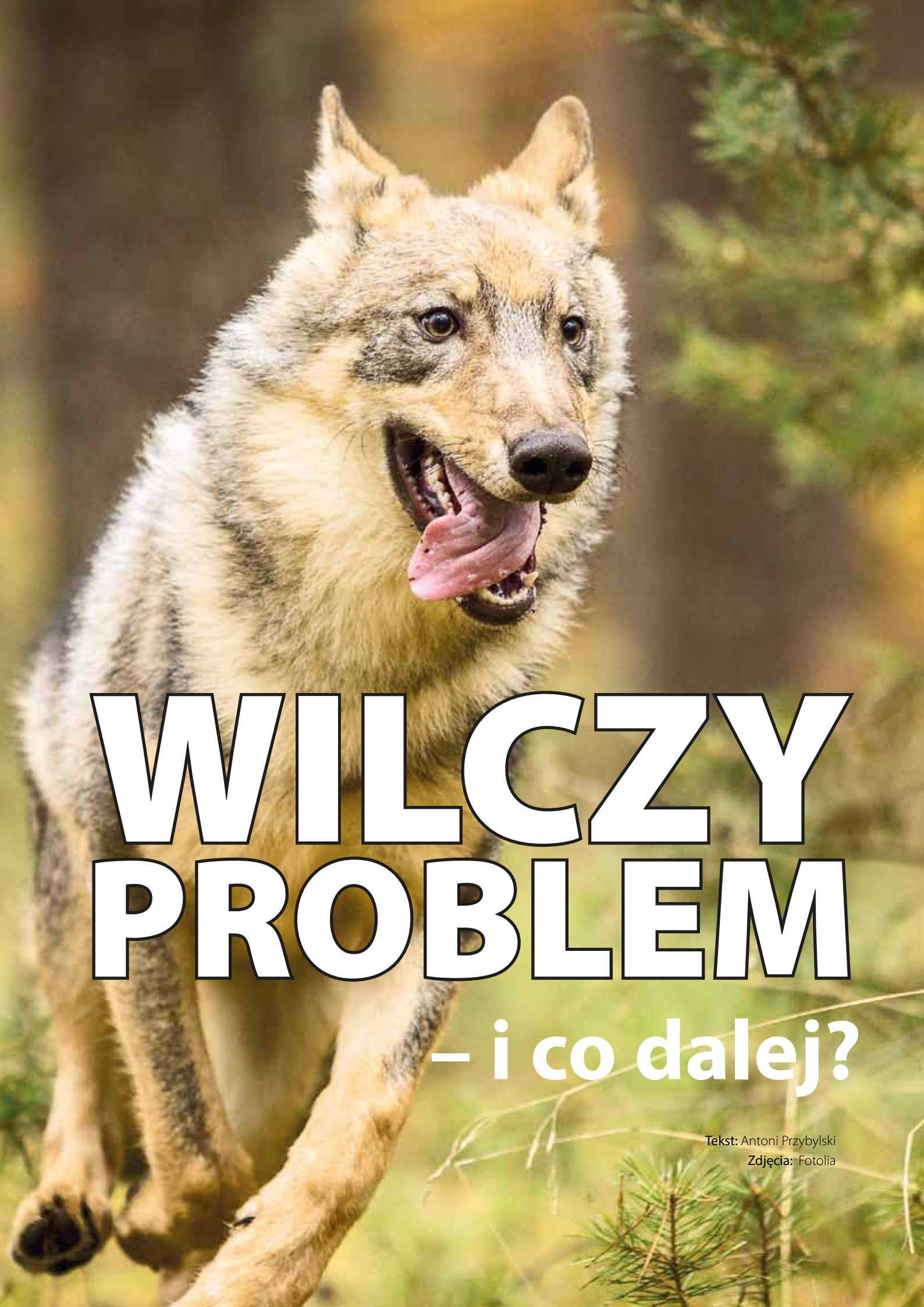
Wydarzeniami, które nas szczególnie dotknęły, była powódź w 1997 roku i huragan w roku 2009. Pozybialiśmy się po tym, likwidując ich skutki.

Z jednej strony cieszą, a z drugiej bywają źródłem kłopotów aktualne bogate stany zwierzyny grubej. Cieszy też, i to bardzo, odbudowywanie się zwierzyny drobnej. Występuje to tam, gdzie nie ma monokultur rolniczych, które drastycznie redukują jej możliwości bytowe. Na zającą i kuropatkę oczywiście nie polujemy od lat. Resztę ptactwa łownego użytkujemy bardzo oszczędnie. Pojawiają się wędrujące łosie. Bobry są już stałymi i licznymi mieszkańcami naszego obwodu, ale też dużym problemem dla rolników i leśników. Coraz częściej spotyka się szopa pracza, a nawet pojawiły się wilki. Ich obecność sygnalizują nie tylko trupy, pozostałości uczt, ale także widoczna zmiana w zachowaniu innych zwierząt. Są też sprawy, które nas niepokoją. W rozmowach myśliwych przewijają się takie tematy, jak spokój wokół łowiectwa, nieużywanie go instrumentalnie, jasność i stabilność przepisów prawa, niesnaski w kołach, rujnujące ich wizerunki. Błędy popełniają wszyscy, ale

nasze są szczególnie gorliwie wyszukiwane i eksploatowane przez określone kręgi. Kiedyś usiłowano naciągnąć mnie na wypowiedź o sprawach związanych z łowiectwem pod pozorem zakupu drewna, jednocześnie kręcąc to ukrytą kamerą. Po co? Tanie to, tandetne i szybko się w tym połapałem. Po to, aby zdobyć „oryginalny” materiał medialny? To poszukiwanie taniej sensacji wokół łowiectwa przez ludzi, którzy najczęściej nie mieli z nim do czynienia i mają bardzo niewielką o nim wiedzę, zaczyna dla szerszych kręgów społeczeństwa być opiniotwórcze na nasze i łowiectwa nieszczęście. Powstaje pytanie: kto i jaki ma w tym interes? Podobnie jest z ruchami pseudo-ekologicznymi, gdzie ktoś z różnych, często wcale nie z „różowych”, a raczej może „zielonych” powodów zakłada coś pozornie logicznego, co ma być „jedynie słuszną prawdą” i stara się to wprowadzać w życie po trupach. Z rosnącym niepokojem patrzymy na młode pokolenie przejmujące biznes od starszego. Myślę tu o sprawach rolniczych, dużych gospodarstwach. Starsi patrzyli szerzej na problem bytu zwierzyny. Dla młodych liczą się tylko pieniądze, ale może to nie-liczny przypadek, z którym się zetknęliśmy? Zmiany zresztą zachodzą też wśród nas samych. Widać to w podejściu do polowania. Odchodzimy od pozyskania mięsa na rzecz pobycia w naturze i ochrony przyrody. To cieszy. Ważne jest uczestniczenie w łowach, przyrodzie i spotkanie z innymi łowcami. Rośnie też świadomość tego, że powinniśmy po sobie zostawić co najmniej to samo, co zastaliśmy, jeśli nie więcej. Takie teraz jest to nasze koło.

– Myślę, Darku, że można Wam tylko pogratulować, życząc dalszych osiągnięć, co czynię, dziękując za rozmowę.





WILCZY PROBLEM

– i co dalej?

Tekst: Antoni Przybylski
Zdjęcia: Fotolia

Jeszcze nigdy w naszej historii, zarówno na obszarze Polski międzywojennej, a także po 1945 roku, liczebność wilków nie była tak wielka, jak obecnie. Nawet, gdy pod uwagę bierzemy oficjalne dane, które najczęściej były zaniżane. Przy tak wysokiej liczebności, dynamice populacji i ciągłym zajmowaniu przez tego drapieżnika nowych obszarów kraju, dalsza ścisła ochrona wilka nie będzie pomagała, lecz wręcz zaszkodzi temu gatunkowi.

W dobie funkcjonowania sieci RDOŚ, istniejącego monitoringu łowieckiego, licznych placówek naukowych, administracji LP, nie wspominając o wszelkiej maści organizacjach pozarządowych – nazywanych ekologicznymi – GUS, literatura fachowa i pisma przyrodnicze podawały znacznie różniące się od siebie stany i rozmieszczenie wilków. Ta sytuacja zaczyna się już na szczęście normalizować – wykazywane stany są już coraz realniejsze. W tej sytuacji podjęcie rozwiązań korzystnych dla wszystkich stron powinno być kwestią czasu.

osobników. W Bułgarii, Estonii i Serbii wilk ma typowy status gatunku łownego. W Finlandii, Szwecji, Słowacji, Litwie, Łotwie i od 2017 roku we Francji poddany jest mniejszemu lub większemu pozyskaniu. W przypadku niektórych krajów (np. Albania, Grecja, Rumunia i Słowenia) odstrzał wilka obejmuje tylko sytuacje, kiedy wilk stanowi bezpośrednie zagrożenie dla ludzi bądź stad zwierząt gospodarskich. W tym kontekście dziwny jest stosunek do wilka w Polsce. Jeszcze w 2015 roku (ZPŁ 2/2015) twierdzono, że liczba wilków w naszym kraju nie przekracza 1000 osobników (S. Nowak) lub że szacowana jest na poziomie około 1000. (K. Schmidt). Zapewne odnoszono to do lat 2013–2014, gdzie według opracowanego „Atlasu ssaków Polski” (Okarma, 2015) sugerowano, że liczebność może wynosić co najmniej 900–1000 osobników. W 2014 roku Generalna Dyrekcja Ochrony Środowiska przedstawiła dane z 2012 roku mówiące o liczebności 1050 osobników, ale z zastrzeżeniem, że są to dane szacunkowe, uzyskiwane z różnych



Spór o liczbę wilków

W skali światowej wilk nie wypełnia praktycznie żadnych kryteriów zagrożenia gatunku. Dlatego też jest sklasyfikowany przez Międzynarodową Unię Ochrony Przyrody i Jej Zasobów (IUCN) jako gatunek najmniejszej troski (Okarma, 2015).

Po okresie niskiej liczebności wilk obecnie stale zwiększa zasięg występowania i jego stan w Europie przekracza 10 000 osobników, w tym w krajach Unii Europejskiej wynosi co najmniej około 4–5 tysięcy

źródeł. Natomiast według tej instytucji skorygowana liczebność w roku 2012 wynosiła 950 osobników. Najnowsze dane zawarte w „Roczniku Statystycznym Leśnictwa 2015” wykazują stan na 31 grudnia 2014 roku w wysokości 1276 wilków. W 2009 roku w wyniku badań podano, że wilki występowały w 72 nadleśnictwach i 8 parkach narodowych, a ich liczebność oszacowano na 438–601 osobników żyjących w 119–131 watachach. Z tej liczby w lasach Polski centralnej i zachodniej żyło 20–30 wilków. Obecnie

(dane z lat 2013–2014, zawarte w Monitoringu gatunków i siedlisk przyrodniczych ze szczególnym uwzględnieniem sieci Natura 2000), wilki występują już w 269 nadleśnictwach (na 468), tj. w 57%.

Tam, gdzie wilki żyją, myśliwi i leśnicy wiedzą, ile ich rzeczywiście mają. Np. w rejonie hodowlanym Puszcza Notecka, w oparciu o ankiety z lat 2011–2014, oszacowano liczbę wilków na poziomie 20–23 osobników bytujących w około 4 watach (Kasprzyk, 2014).

W tym zamieszaniu i sporach o liczby, które są na rękę decydentom i nie tylko, nikt nie bierze pod uwagę opinii środowisk lokalnych oraz grup bezpośrednio dotkniętych wilczą plagą (hodowców zwierząt gospodarskich, myśliwych, leśników). Kiedy w 2009 roku próbowano określić optymalną liczebność wilków dla naszego kraju, prof. H. Okarma z Polskiej Akademii Nauk stwierdził, że jest przeciwnikiem określania, ile tych drapieżników mogą pomieścić polskie lasy. Według niego podstawą gospodarowania wilkiem powinna być wysokość szkód, które ten drapieżnik wyrządza. Jeśli szkody są znaczne, społecznie nieakceptowalne, można powiedzieć, że jest go za dużo („Echa Leśne” 2009/4). Natomiast prof. Wł. Jędrzejewski z Zakładu Badania Ssaków PAN w Białowieży uznał, że można określić optymalną liczbę wilków dla środowiska Polski i wynosi ona około 1500 osobników. Tego samego zdania są przedstawiciele Stowarzyszenia dla Natury „Wilk”, wpływowej organizacji ekologicznej. Uważają, że w lasach zachodniej Polski jest miejsce dla 900 wilków, do dyspozycji których jest 39 tys. km² siedlisk przydatnych dla wilka. W pasie wschodnim powierzchnia ta wynosi 22,6 tys. km² i tam z kolei jest miejsce dla 600 osobników. Dla całej Polski daje to 1500 wilków.

Sytuacja w Niemczech

Kiedy w 2007/2008 roku w łowiskach centralnej i zachodniej Polski wykazywano zaledwie 20–30 wilków, w Niemczech żyły one już w 5 watach. Do Niemiec wilki przyszły od nas, powróciły tam po 150 latach nieobecności i w sposób dynamiczny zaczęły zwiększać liczebność i zasięg występowania. Monitoring wilka w Niemczech jest godny pozazdroszczenia (podobnie zresztą, jak innych gatunków zwierząt). Dane o stanie liczbowym i rozmieszczeniu są aktualizowane na bieżąco. W 2014 roku (stan na 30 kwietnia 2014) wilki żyły w 25 watach, 8 parach i obserwowano 3 samotniki. W 2016 roku (dane z 23 września 2016) wilki bytowały już w 46 watach i 15 parach oraz obserwowano 5 samotników. Łącznie daje to około 265 osobników. Obecnie najwięcej wilków żyje w lasach Brandenburgii (16 watah, 6 par i 1 samotnik), następnie Saksonii (15 watah, 3 pary i 1 osobnik),



Saksonii Anhalt (7 watah, 4 pary) oraz w Dolnej Saksonii (6 watah, 2 pary i 1 osobnik). Wilki osiedliły się już w 7 landach.

O wilkach w społeczeństwie za Odrą jest głośno. Niemal codziennie w tamtejszych mediach pojawiają się informacje o atakach na zwierzęta hodowlane oraz o wilkach pojawiających się na coraz to nowych terenach. Z niepokojem informuje się o każdym niebezpiecznym bliskim spotkaniu z tym zwierzęciem. W 2015 roku stwierdzono 199 ataków wilków na zwierzęta gospodarskie (ofiarami było 596 owiec, 6 kóz, 16 sztuk bydła i 94 sztuki zwierzyny leśnej hodowanej w zagrodach – łącznie 712 sztuk). Zdarzenia wystąpiły w 9 landach, najwięcej w Dolnej Saksonii – 64 ataki na 235 zwierząt, w Saksonii – 56 ataków na 168 zwierząt i w Brandenburgii – 30 ataków na 96 zwierząt.



Jak informuje „Wild und Hund” (3/2017), niemiecki minister rolnictwa Ch. Schmidt (CSU) postulował, że w obliczu rosnących stanów wilka i powstałych strat, powinno się dopuścić do ograniczonego odstrzału tych zwierząt. Nie jest to tylko jego opinia. Już pod koniec listopada 2016 roku w Dreźnie, podczas spotkania wszystkich przedstawicieli ministerstw środowiska frakcji CDU-CSU krajów związkowych, przyjęto tzw. Drezdeńską Rezolucję Wilczą, w której żąda się redukcji wilków. Przedstawiciel parlamentu Saksonii J. Hippold stwierdził: „Rozprzestrzenianie się wilków postępuje bardzo szybko i niebawem cała Saksonia stanie się regionem wilka. Udowodniona liczba zagryzionych w Niemczech zwierząt gospodarskich przez będącego pod ochroną wilka wzrosła 20-krot-

nie – z 33 sztuk w 2002 roku do 714 w roku 2015. Nie rozwiążemy tego problemu tylko przez ochronę stad naszych zwierząt”.

Na spotkaniu w Dreźnie postulowano, ażeby nie czekać, ale już pomyśleć o dopasowaniu statusu ochrony wilka do koniecznej regulacji liczebności populacji. W Niemczech nastawienie do wilka powoli ulega zmianie. Wszystko poprzez natłok informacji o zaatakowanych zwierzętach hodowlanych, a także o wyjątkowo niebezpiecznie zachowujących się niektórych wilkach. Odstrzał przestał być tematem tabu i jest szeroko komentowany. I słusznie, gdyż nie można o tym problemie zacząć dyskutować dopiero wtedy, gdy wszystko wymknie się już spod kontroli.

Hodowcy owiec z Dolnej Saksonii, którzy w 2016 roku demonstrowali przed parlamentem w Hanowerze też uważają, że wilki należy włączyć do prawa łowieckiego. Mają już dość ciągłego pilnowania swoich stad i nocowania w przyczepach na pastwiskach. Nie satysfakcjonuje ich nawet to, że rząd Dolnej Saksonii przyznał dla hodowców w 2016 i 2017 roku po 800 tysięcy euro rocznie na odszkodowania za straty wyrządzane przez wilki.

Spór o definicje i populacje

W Niemczech, podobnie jak w innych krajach europejskich, ścisła ochrona wilka wynika z przepisów prawa międzynarodowego. Ażeby to prawo nieco złagodzić, co sugerują już niektórzy biolodzy, należy zmienić podejście do zdefiniowanych kryteriów określających zasady chroniące wilka, w tym określić dotyczących żywotności populacji: „Wciąż trwa spór o to, czy wilki z krajów nadbałtyckich należą do tej samej populacji, co wilki z Polski zachodniej i Niemiec, czy też stanowią populację odizolowaną. Od tego zależy bowiem status ochrony wilka”. Dotychczasowe wyniki badań monitoringu genetycznego wilków prowadzonego między innymi przez polskich naukowców (dr Sylwia Czarnomska) wskazują, że populacja wilków niemiecko-zachodniopolskich pochodzi od wilków z obszaru nadbałtyckiego. Stan populacji wilków nadbałtyckich wykazuje tendencję zwykłą. W 2013 roku ich liczebność szacowano na poziomie około 1400 osobników. Według najnowszej informacji GUS, na obszarze zachodniej Polski stan wilków na koniec 2015 roku szacowano w wysokości 403 osobników, a w całej Polsce 1484. W pasie zachodnim jest to stan o 64 większy niż w 2004 roku. Są to już wystarczające liczby, wskazujące na możliwość wprowadzenia wilka na listę zwierząt łownych. Znacznie większa dynamika przyrostu wykazywana jest na obszarze Niemiec. Ministerstwo Ochrony Środowiska Niemiec przewiduje podwojenie się obecnej liczby wilków w ciągu najbliższych trzech lat.

Powiązania międzypopulacyjne i transgraniczne oraz stwierdzony dynamiczny wzrost liczebności są istotną wskazówką dla podejmowania właściwych działań. Jeśliby populacja wilków w Niemczech i Polsce zachodniej okazała się odrębną, izolowaną populacją, wówczas minimalna liczba osobników według wskazówek ustalonych przez IUCN, powinna wynosić minimum 1000, by uznać ją za niezagrożoną. Natomiast jeśli populacje są powiązane z sąsiednimi populacjami, to ten mocno wyśrubowany próg liczbowy wilków jest wtedy znacznie obniżony. Wcześniejsze obawy genetyków niemieckich, że wymiana między populacjami nadbałtycką i środkowo-europejską jest znikoma, są obecnie bezpodstawne. Po wzroście liczebności wilków w Polsce, w pasie północnym – od wschodniej do zachodniej granicy

kusja, wynikiem której było zezwolenie na odstrzał. Argumentem za była ochrona hodowli reniferów, konieczność ochrony niewielkiej rodzimej populacji renifera leśnego oraz wystąpienie licznych ataków wilków na psy myśliwskie. Obecna liczebność wilka wynosi tam 150–170 osobników.

W Jakucji w 2012 roku wilki zabiły 16 111 reniferów i 313 koni. Straty z tego powodu oszacowano na 160 mln rubli (ok. 16,5 mln zł). Populacja wilków w Jakucji, kraju 10-krotnie większym od Polski, liczy ok. 3500 osobników. Władze postanowiły zredukować stan do poziomu 500 osobników. W 2013 roku, mimo wyznaczenia premii za pozyskane drapieżniki, zabito tylko 600 wilków. We Francji, kiedy w latach dziewięćdziesiątych ub. wieku pojawiło się kilka pierwszych wilków (przyszły z Hiszpanii), przyjęto je początkowo



– drapieżnik ten zajmuje obecnie wszystkie większe kompleksy leśne. Wilk notowany jest już w całym kraju z wyjątkiem (do czasu!) dwóch województw: łódzkiego i opolskiego (jest tam tylko widywany).

Nauczmy się liczyć

W krajach, gdzie poluje się na wilki, nie dopatrzmy się, że za wprowadzeniem wilka na listę zwierząt łownych stoi wyłącznie interes myśliwych. Jest wiele różnorodnych czynników, które o tym zadecydowały. W całej Skandynawii uwzględnia się potrzeby społeczności lokalnych w decydowaniu o tym, czy wilki mają być chronione, czy też powinno się na nie polować. Np. w Finlandii już przy liczebności nieprzekraczającej 300 wilków rozgorzała gorąca dys-

kusja, wynikiem której było zezwolenie na odstrzał. Argumentem za była ochrona hodowli reniferów, konieczność ochrony niewielkiej rodzimej populacji renifera leśnego oraz wystąpienie licznych ataków wilków na psy myśliwskie. Obecna liczebność wilka wynosi tam 150–170 osobników. W Jakucji w 2012 roku wilki zabiły 16 111 reniferów i 313 koni. Straty z tego powodu oszacowano na 160 mln rubli (ok. 16,5 mln zł). Populacja wilków w Jakucji, kraju 10-krotnie większym od Polski, liczy ok. 3500 osobników. Władze postanowiły zredukować stan do poziomu 500 osobników. W 2013 roku, mimo wyznaczenia premii za pozyskane drapieżniki, zabito tylko 600 wilków. We Francji, kiedy w latach dziewięćdziesiątych ub. wieku pojawiło się kilka pierwszych wilków (przyszły z Hiszpanii), przyjęto je początkowo z entuzjazmem. Upatrywano w tym oznakę poprawy jakości środowiska przyrodniczego. Po krótkim okresie euforii, kiedy podliczono koszty „pobytowe” tej kilkusobnikowej watahy, stwierdzono, że taniej byłoby je odłowić i żywić w najdroższej restauracji w Paryżu, niż dłużej tolerować je na wolności. Wilki odstrzelono i nikt, nawet Pani B.B., nie protestował zbyt ostro. Po ponownym pojawieniu się wilków Francuzi byli już w swoich ocenach ostrożniejsi. Kiedy w 2011 roku wilki osiedliły się w departamentach Wogezy oraz Meurthe i Mozela, szacowano, że w 20 watachach żyje ok. 200 wilków. Już wtedy francuscy pasterze domagali się zgody na odstrzał. Dlatego kiedy w latach 2015 i 2016 ofiarą wilków padło 469 zwierząt wypasanych na halach, w 60 gminach tych

departamentów wydano w 2017 roku zezwolenia na odstrzały wilków.

I tutaj dochodzimy do sedna sprawy – czyli skutków ekonomicznych związanych z drapieżnictwem wilków. Np. w południowej Szwajcarii w kantonie Wallis, kiedy około 2012 roku pojawiły się pierwsze wilki, zaczęto dokładnie liczyć koszty. Po roku okazało się, że na watahę liczącą 5 osobników – wypłacone odszkodowania, wydatki na ochronę wypasanych stad owiec i bydła, koszty monitoringu oraz koszty polowań na wilki – wyniosły w sumie 250 tys. franków szwajcarskich (200 tys. euro). Specyfikacja kosztów wykazała między innymi, że za 112 zagryzionych owiec wypłacono 52 tys. franków, za samą wysyłkę zebranych próbek DNA 2 tys. oraz koszt odstrzału jednego wilka 13 tys. (200 godzin zasiadek na jednego strzelonego wilka).

W samej tylko Dolnej Saksonii w Niemczech, gdzie żyje nie więcej niż 40 wilków, w 2016 roku wypłacono rolnikom 800 tys. euro odszkodowań.

A w Polsce?

U nas wilki żyją prawie za darmo. Populacja licząca blisko 1500 osobników kosztuje rocznie niewiele. Państwo wypłaca rolnikom odszkodowania nieprzekraczające 600 tys. zł. Czyżby nasze wilki nie miały apetytu?

Warto przypomnieć, że nie na próżno funkcjonuje popularne powiedzenie „mieć wilczy apetyt”. Jeden wilk zjada w ciągu roku około 1500 kg mięsa. W skali kraju wilki pożerają 2250 ton zdrowego, świeżego mięsa. W przeliczeniu na zwierzynę jest to 93 tys. saren, 13,5 tys. jeleni i 21 tys. dzików. Wartość straconego mięsa, według cen skupu, wynosi tylko... 19 372 500 zł.

W skali kraju na potrzeby konsumpcyjne wilków musi funkcjonować z roku na rok większa, odrębna populacja kopytnych licząca około 500 tys. dzików, jeleni i saren. Dzierżawcy i zarządcy obwodów z wilkami muszą to stado utrzymać, dbać o nie i płacić za wyrządzane przez nie szkody w płodach rolnych, a leśnicy dodatkowo zabezpieczać uprawy leśne i młodniki przed zgryzaniem i spalowaniem. A my z tego nic nie mamy. Tylko koszty, straty i same kłopoty, a korzyść ma tylko bezkarny i syty wilk.

Uważam, że to ostatni moment, by gremia decyzyjne w Polsce podjęły stosowne kroki w sprawie ograniczenia populacji wilka do rozsądnych rozmiarów, ekonomicznie i przyrodniczo znośnych. Możliwość zminimalizowania ogólnie bardzo wysokich kosztów bytowania wilka w Polsce zapobiegnie być może kolejnej, mało chwalebnej konstatacji, że Polak i przed szkodą, i po szkodzie... nie potrafi racjonalnie myśleć i działać.



Czy wilk może być niebezpieczny dla człowieka?



Tekst: Agnieszka Nicpoń, Józef Nicpoń

Wilk jest zwierzęciem mięsożernym – poluje głównie na jelenie, łosie, sarny, dziki, zające, a także gryzonie. W krajach, w których rzadkością są zwierzęta kopytne, atakuje domowe. Na duże zwierzęta poluje watahą lub w parach. Samotne osobniki poprzestają na drobnej zdobyczy. Wilk zjada dziennie 2–4 kg mięsa, ale nie gardzi również jajami, owadami i owocami leśnymi. Zabija nie tylko z głodu i konieczności zdobycia pożywienia, ale też dla pasji i instynktu samego polowania. Wielu autorów uważa, że jeden wilk przeciętnie zabija (ale niekoniecznie zjada) jedną sztukę grubej zwierzyny w ciągu tygodnia.

O tym, że powoduje ogromne straty wśród zwierząt dzikich, wiadomo od dawna. Wyliczono, że jeden wilk zabija w ciągu roku średnio 27 jeleni, 12 dzików i 3 sarny. Zatem zarejestrowane w Puszczy Białowieskiej wilki zabijają rocznie około 5400 jeleni, 2400 dzików oraz 600 saren. Bytująca na terenie RDLP w Szczecinku populacja wilków w ciągu roku może zabić 8400 sztuk zwierzyny grubej, a na terenie RDLP w Gdańsku około 4000.

Przyjmując, że w Polsce żyje 1500 wilków, łatwo wyliczyć, że zabijają one rocznie około 80 000 sztuk zwierzyny grubej (jeleń, dzik, sarna, daniel). Powodują coraz większe straty także wśród zwierząt gospodarskich, szczególnie przebywających na pastwiskach owiec i młodego bydła.

Liczbę zabitych zwierząt gospodarskich na naszym kontynencie w 2000 roku oceniano na 10 000 sztuk, a straty obliczono na 7–9 milionów euro. W Polsce wartość szkód spowodowanych przez wilki w 9 województwach w roku 2013 wyniosła 522 000 złotych.

W bieżącym roku opisano przypadek watahy składającej się z sześciu wilków, która zagryzła 20 owiec w ciągu jednej nocy. Znane są przypadki zabijania przez wilki psów będących na uwięzi w obrębie zabudowań gospodarskich.

Czy wilki mogą być groźne dla ludzi?

Pani dr Pierużek-Nowak, prezes Zarządu Stowarzyszenia dla Natury „Wilk” („Gazeta Wrocławska” nr 53, 4.03.2016) zapewnia, że ani jej, ani nikomu z jej znajomych, którzy zajmują się wilkami, nie zdarzyła się ani razu zła przygoda z udziałem tych zwierząt. Autorka

pisze, że „od prawie 20 lat tropienia wilków, a zwykle jestem sama, nie zdarzyła mi się nigdy żadna sytuacja, w której czułabym się zagrożona. Nie wierzę także w opowieści, że wilk na widok człowieka zaczął się zachowywać agresywnie”. Wilk ma kiepski wzrok, ale bardzo dobry węch i dla niego zapach człowieka jest czymś nieprzyjemnym i nie zachęca do „konsumpcji”.

Pozwolę sobie przytoczyć rozdział z książki „Wilk” (Kraków 2015) prof. Henryka Okarmy, wybitnego znawcy wilków z Instytutu Ochrony Przyrody PAN w Krakowie. W rozdziale „Agresja w stosunku do człowieka” Autor podaje wiele przykładów ataków na człowieka. W latach 1870–1887 w 49 guberniach europejskiej w części Rosji wilki zagryzły 1445 ludzi.

W 2002 roku na zlecenie Ministerstwa Środowiska zespół naukowców z kilku krajów Europy opracował raport podsumowujący stan wiedzy oraz istniejącą literaturę na temat agresji wilków w stosunku do ludzi (Linell i in. 2002). Chociaż wiele zebranych danych należy traktować z ostrożnością, wynika z nich w sposób jednoznaczny, że wilki czasami atakowały i zabijały ludzi. Bardzo często były to osobniki chore na wściekliznę, ale nie zawsze.

Opisano następujące zdarzenia: we Francji w latach 1764–1767 ponad 100 osób zostało zabitych przez wilki; w Szwecji w okresie 1727–1763 wilki zabiły czworo dzieci, a w latach 1820–1821 aż trzynaścioro.

Znane są również raporty mówiące o pięciorgu zabitych dzieciach w Polsce na Kresach w 1937 roku.

W Rosji w obwodzie kirowskim w latach 1944–1953 wilki zaatakowały kilkadziesiąt dzieci, z których 36 nie udało się uratować.

W trzech rejonach Indii pod koniec XX wieku co najmniej 273 dzieci padło ofiarą wilków.

W opublikowanym w Kanadzie raporcie, który obejmował także zdarzenia z Alaski, mające miejsce w latach 1915–2001, opisano 80 agresywnych zachowań wilków, z których 39 spowodowanych było przez zdrowe osobniki.

Podsumowując, należy stwierdzić, że istnieją wiarygodne dowody, że ludzie byli zabijani zarówno przez zdrowe wilki, jak i chore na wściekliznę.

Wilk

pod Wrocławiem – historia prawdziwa

Tekst i zdjęcia: Mieczysław Łyskawa



Jak wiele myśliwskich przygód, ta również zaczęła się banalnie, jednak jej finał przeszedł moje oczekiwania i myślę, że nie tylko moje. W dniu 8 kwietnia 2017 roku – była to ładna, księżycowa sobota – polowałem wraz z kolegą z koła Czesławem Pisarkiem na dziki. Około godziny 22.30 odezwał się mój telefon. Niechętnie wyjąłem go z kieszeni, zastanawiając się, kto o tej porze zawraca mi głowę? Spojrzałem na ekran, dzwonił Roman Rycombel, nasz Łowczy Okręgowy, wypadało odebrać, bo zapewne dzwoniąc o tej porze, miał jakąś ważną sprawę. Łowczy poinformował mnie, że podał mój numer telefonu policjantowi z KPP w Środzie Śląskiej, który zadzwonił do mnie w sprawie potrąconego przez samochód koło miejscowości Kostomłoty prawdopodobnie wilka. Mówił to bez specjalnego przekonania, gdyż sam nie dawał wiary, że tak blisko Wrocławia mógł zostać potrącony wilk.

Minęło parę minut i zadzwonił policjant. Okazało się, że jest też myśliwym i poprosił, bym przyjechał do

Środy Śląskiej na posterunek, gdyż samochód śmiertelnie potrącił wilka i chcieliby, by prawnie chroniony zwierzak został zbadany i zabezpieczony.

Z powątpiewaniem przyjąłem informację, twierdząc, że to niemożliwe, musi to być bezpański pies, podobny do wilka, bo kilka kilometrów od Wrocławia wilka do tej pory nikt nie widział. Upór aspiranta szt. Mariusza Kowalewicza był jednak skuteczny. Przesłane słabej jakości zdjęcie, zrobione przy latarce telefonem komórkowym, na którym widniało zwierzę podobne do dużego psa, nie zrobiło na mnie wrażenia, ale po chwili, gdy przysłał zdjęcie łapy, zmieniłem nieco pogląd na tę sprawę. Przekonał mnie, bym przyjechał i zgodziłem się rano w niedzielę być na posterunku Policji, prosząc, by zabrali zwierzę i zabezpieczyli truchło do mego przyjazdu. Do domu z polowania wróciłem późno, ustawiłem budzik i po czterech godzinach snu leniwie zwlokłem się z łóżka. Postanowiłem zabrać ze sobą syna Dominika, który też poluje, ale gdy usłyszał historię o wilku, nie chciał wstać z łóżka, mówiąc, że w

niedzielę woli pospać. Po krótkiej perswazji zgodził się jednak ze mną pojechać.

W niedzielny poranek szybko dojechalismy na miejsce, odległość od miejsca mego zamieszkania do Środy Śląskiej to około osiemnastu kilometrów i po dosłownie kilkunastu minutach byliśmy na miejscu. Policjanci wiedzieli, że mam przyjechać, wpuścili nas do garażu i tu wraz z synem zrobiliśmy wielkie oczy. Wzbogaceni o wiedzę z książki o wilkach autorstwa Henryka Okarmy oraz z internetu, jak wygląda i czym różni się łapa wilka od psiej, po krótkich oględzinach nie mieliśmy wątpliwości, że nie jest to zwykły pies, ale nie mieliśmy jednak stuprocentowej pewności, że jest to wilk. Powodem był brak doświadczenia, ale byliśmy już pewni, że warto było przyjechać.

Na posterunku zostawiłem oświadczenie, że zabieram truchło zwierzęcia przypominającego wilka celem przekazania go na Wydział Medycyny Weterynaryjnej Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, by przeprowadzono stosowne badania, w tym genetyczne, gdyż tylko takie mogły do końca rozwiązać wątpliwości.

Domniemanego wilka przywieźliśmy do domu, była niedziela rano – dość ciepło jak na tę porę roku. Musiałem pomyśleć, jak zabezpieczyć tuszę, by się nie zaparzyła. Szybki telefon do kolegi z mego koła Wiesława Bębna załatwił sprawę. Ma on minichłodnię, do której schowaliśmy martwe zwierzę. Myśląc, co robić dalej, zadzwoniłem do profesora Józefa Nicponia, pracownika Wydziału Medycyny Weterynaryjnej naszej uczelni, również kolegi z Koła Łowieckiego „Remiza” przy UP we Wrocławiu. Ustaliliśmy, że w poniedziałek rano zabiorę wilka z chłodni i przewiozę na uczelnię celem przeprowadzenia badań. Tak też się stało, jednak w międzyczasie informacja o wilku, znajdującym się na uczelni, rozeszła się i w poniedziałek rano przybyli przedstawiciele radia i lokalnej telewizji,

jak również prasy, przeprowadzając z nami wywiad na temat tego wydarzenia. Informacja ukazała się w prasie pod tytułem „Wilk pod Wrocławiem”. Informację taką podała też wrocławska telewizja.

W poniedziałek pobrane zostały próbki i przekazane do badań genetycznych. W piątek już były wyniki potwierdzające, że to wilk. Był to około czteroletni basior w bardzo dobrej kondycji, który prawdopodobnie przywędrował do nas zza zachodniej granicy, szukając sobie rewiru, który mógłby zająć. Miał jednak pecha i dokonał żywota, wpadając pod samochód pod Wrocławiem.

Na weterynarii pobrano jeszcze kilka próbek do badań, sprawdzono, czym się żywił, czy na coś nie chorował, czy wcześniej nie miał urazów i złamań, jak również, w jakiej był kondycji.

Na wniosek Ośrodka Badań Środowiska Leśnego i Chorób Zwierząt Dziko Żyjących przy Uniwersytecie Przyrodniczym, złożony do Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska we Wrocławiu, który został rozpatrzony pozytywnie, dziś spreparowany wilk stoi jako eksponat edukacyjny w Ośrodku Badań Środowiska Leśnego w Złotówku.

Tak oto kończy się historia o pechowym wilku, który wybrał się w okolice Wrocławia, nie zachowując należytej ostrożności.

W krótkim czasie po tym zdarzeniu ukazała się informacja o wilku w okolicach Lwówka Śląskiego, którego myśliwi znaleźli martwego na wnyku. Świadczyć to może o tym, iż takich przypadków, wskazujących na ekspansję wilków, będzie więcej.

W tym miejscu należy podziękować policjantom za właściwą postawę i zajęcie się sprawą we właściwy sposób. W innym przypadku nie wiedzielibyśmy o odwiedzinach, choć pechowych dla wilka, w naszych łowiskach koło Wrocławia.



Odyńcowy jubileusz

Tekst: Jacek Seniów

Zdjęcia: Archiwum Piotra Lelińskiego, Tomasz Stasiak

70-lecie jest niewątpliwie okazją do wielu wspomnień i przemyśleń. To praktycznie dwa pokolenia. Taki znaczny jubileusz w tym roku obchodziło Koło Łowieckie „Odyniec” ze Środy Śląskiej, odznaczone najwyższym łowieckim odznaczeniem – żetonem Złomu, dumnie błyszczącym na jego sztandarze. Stąd też spotykam się w szerszym gronie z zarządem koła. Gronie poszerzonym o członków, którzy w przeszłości pełnili funkcje w zarządzie koła, kształtując jego obecny wizerunek.

Wielu członków średzkiego „Odyńca” od początku jego istnienia działa bardzo aktywnie w strukturach wojewódzkich, a następnie okręgowych Związku.

Zbigniew Kamiński – łowczy, Mariusz Kijek i Ryszard Pundowski – wicełowczowie, Zdzisław Andrzejczak – sekretarz, Jarosław Puchacz – skarbnik, Jerzy Górski i Tadeusz Olszewski – byli wieloletni prezesi zarządu koła oraz Roman Rycombel – aktualny Łowczy Okręgowy we Wrocławiu, a były sekretarz zarządu koła.

Wspomnieniom, anegdotom końca nie ma. Ale wracając do odyńcowych początków to wszystko zaczęło się w 1947 roku, kiedy późniejsi jego członkowie – Koledzy Henryk Grzywiński i Stefan Żmija – wstąpili do jednego z zaczynających działać na terenie powiatu Środa Śląska stowarzyszeń łowieckich. Inne to były czasy i przestrzenie wyglądały inaczej,



Jednym z nestorów tak koła, jak i wrocławskiej organizacji łowieckiej jest Kolega Jerzy Górski. Były członek Naczelnej Rady Łowieckiej, były Łowczy Wojewódzki i były wieloletni prezes „Odyńca”. Chodząca kopalnia wiedzy o wrocławskiej organizacji, Związku i łowiectwie. Stanisław Olejarczyk, były prezes i łowczy koła oraz były wiceprezes Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, jest aktualnie wiceprzewodniczącym Okręgowej Komisji Rewizyjnej. Towarzyszą nam: Stanisław Gajderowicz – aktualny prezes koła, Piotr Leliński – wiceprezes,

dzierżawiło ono tereny 13 gmin. Brak przepisów ustawowych dotyczących łowiectwa powodował, że stowarzyszenia ówczesne działały w oparciu o przepisy przedwojenne i doraźnie wydawane. Dekret z 29 października 1952 roku „O prawie łowieckim” dokonał podziału kraju na obwody łowieckie. Ze stowarzyszenia wyłoniły się trzy koła, w tym „Odyniec”. Każde z nich mogło dzierżawić dwa obwody. Pozostałe nowo powstałe obwody przypadły zawiązującym się kołom wrocławskim.



Gospodarka łowiecka zaczęła funkcjonować w oparciu o roczne plany, choć w początkowym okresie na terenie lasów zajmowały się nią miejscowe nadleśnictwa. One też szacowały szkody łowieckie i wypłacały za nie odpowiednie kwoty. Koła zwracały stosowny procent ich wartości i wносиły opłatę od pozyskanej zwierzyny.



ją polowania na zające, będące dla nich nie tylko polowaniami, ale przede wszystkim wspaniałymi i pełnymi humoru koleżeńskimi spotkaniami. Wspominają, bo wiele lat temu sami myśliwi z nich zrezygnowali w związku ze zmniejszającymi się stanami zające. Zamiast polować na zające, prowadzą ich i bażantów introdukcję. Niestety,



Ustawa „O hodowli, ochronie zwierząt łownych i prawie łowieckim” utrzymała postanowienia dekretu i wprowadziła kolejne zmiany znane nam już z autopsji. W czasie minionego 70-lecia koła wielokrotnie zmieniały się przepisy prawa łowieckiego. Kolejne zmiany nakładały coraz to nowe obowiązki na myśliwych, z których członkowie „Odyńca” zawsze wywiązywali się znakomicie, konsekwentnie budując tak zasobność ekonomiczną koła, jak i jego autorytet. Z łezką w oku wspomina-

współczesne rolnictwo jest bardzo mało przyjazne dla drobnej zwierzyny. Stąd, mimo wszelkich starań nemrodów, jej stany nie poprawiają się. Za to liczba zwierzyny grubej, czującej się znakomicie w wielkołanowej gospodarce rolnej, przerosła wszelkie marzenia założycieli koła. Cieszy to kolejne pokolenia odynieckich myśliwych, a polują tu już nawet trzecie generacje rodzinne: Chrapków, Jodłowskich, Kaimów, Kamińskich, Kostrowskich, Olszewskich, Rycombelów czy Senatorów.



Dumą nemrodów z „Odyńca” jest ich domek myśliwski. Miejsce nie tylko spotkań myśliwych, ale przede wszystkim spotkań edukacyjnych z młodzieżą. Odwiedzają go dzieci z powiatu średzkiego i innych. Bardzo częstymi gośćmi jest tu również wrocławska młodzież. Dobrym duchem tych działań koła

jest Kolega Piotr Leliński. Autorski projekt Piotra „Bieg świętojański” ujął wielu. Włączyli się strażacy, bractwo rycerskie, miłośnicy offroadu, nadleśnictwo, władze gminy i powiatu oraz inne instytucje i osoby prywatne. Nawiązała się bliska współpraca pomiędzy Kołem a Samorządowym Ośrodkiem Kultury w Miękinii i tre-



nerami świetlicowymi z panią Małgorzatą Czajkowską na czele. Powstała coroczna wspólna, edukująca dzieci i młodzież impreza. Najmłodsi uczestnicy mają po 5 lat, a najstarsi po 16.

Myślę, że nie tylko sukcesów, koleżeńskej serdeczności, optymizmu, ale i pomysłów na życie można im pozazdrościć. To, co ich niepokoi, to brak stabilności przepisów regulujących sprawy łowiectwa.



KWARTALNIK KINOLOGICZNY **Psiarze** *Galicji*

„Psiarze Galicji” to ogólnopolskie czasopismo wydawane przez Zarząd Okręgowy Polskiego Związku Łowieckiego w Rzeszowie, redagowane przez Komisję Kynologiczną Okręgowej Rady Łowieckiej w tym mieście. To jedyne pismo w Polsce o kynologii łowieckiej pisane przez psiarzy dla psiarzy. Nie są to teksty teoretyczne – ich autorami są pragmatycy, ludzie, dla których praca z psem jest codziennością.

Na 64 kolorowych stronach można znaleźć zagadnienia historyczne, problemy behawioralne w pracy z psem, opisy przydatności ras w łowiskach, a także przegląd najważniejszych wydarzeń kynologicznych i teksty o mienach, sędziach, konkursach.

Do tej pory ukazały się dwa numery, a trzeci, w nakładzie 1500 egzemplarzy, właśnie opuścił drukarnię.

Dodajmy, że została także stworzona Fanfara Psiarzy Galicji, która oficjalnie znalazła swoje miejsce na liście sygnałów łowieckich, granych przez zespół sygnalistów PZŁ obok takich znakomitych utworów, jak fanfara kynologiczna Erwina Dembinioka czy Reinholda Stiefa. Fanfara Psiarzy Galicji jest trzecim utworem na świecie poświęconym kynologii łowieckiej.

Wraz z kolejnym numerem pojawi się ekskluzywna, limitowana edycja kartek i okolicznościowych znaczków pocztowych dla kolekcjonerów sygnowana PSIARZAMI GALICJI.

Darz Bór!



A person in a full ghillie suit, including a hood and gloves, is climbing a tree. They are wearing large binoculars and have various climbing gear, including ropes and carabiners, attached to their harness. The background is a dense forest with green foliage.

dla czego FUK?

Tekst: Ziemowit Tokarski
Zdjęcia: Jarosław Dubrownik

Mamy tu broń piękną i romantyczną. Ten, kto poluje z łukiem, wkłada w łowy swoją własną życiową energię. Siła unosząca strzałę została wytworzona przez mięśnie łucznika. W chwili największego napięcia musi on zażądać od swoich mięśni najwyższego wysiłku, zachować pewność ręki i utrzymać swoje nerwy pod całkowitą kontrolą, skupić wzrok i uwagę. Podczas łowów zmierzy on swoje wytrenowane umiejętności z wrodzonym instynktem zwierzyny. Wykazując się najwyższym kunsztem myśliwskim i zręcznością, musi ją podejść na dystans łuczniczego strzału. Pokona zwierzę dopiero wówczas, gdy ciszę przerwie szept strzały trafiającej cel. Pokona ją siłą swoich ramion i panowaniem nad emocjami. To są szlachetne łowy – tak o polowaniu łuczniczym pisał prawie wiek temu dr Saxton Pope, prekursor współczesnego myślistwa łuczniczego.

Pomimo iż przez owe sto lat nowożytnie polowanie z łukiem nie oparło się wpływowi postępu technologicznego, a współczesny łuk bloczkowy niemal w niczym nie przypomina swego tradycyjnego protoplasty, niemniej cytowana powyżej idea wciąż pozostaje niezmienna. Współczesny łucznik, dzięki rozwojowi techniki, ma niewiarygodne możliwości skutecznego maskowania swej obecności w łowisku idące w parze z niespotykaną dotychczas precyzją łuku i zdolnością do generowania energii kinetycznej pozwalającej efektywnie polować nawet na największe ssaki lądowe. Zdolność łowcy do uczynienia się nierejestrowalnym dla zmysłów zwierzyny na łuczniczych dystansach polowań (około 20 metrów), idąca w parze z umiejętnością wyjątkowo precyzyjnego posłania strzały do celu, skutkuje wciąż rosnącą efektywnością łuku. Dopełniając obraz nowoczesnego polowania z łukiem, należy podkreślić, iż w świetle prowadzonych badań naukowych, strzał łuczniczy, wbrew obiegowym opiniom, przynosi śmierć szybko i bez zadawania zbędnego bólu, nadając polowaniu łuczniczemu dodatkowo walor humanitarności.

Jednocześnie do lamusa można odłożyć niczym nieuzasadnione, a przede wszystkim niepotwierdzone przez kraje szczycące się długimi tradycjami polowań łuczniczych obawy, iż łuk może stać się narzędziem „cichego kłusownictwa”. Dziś żaden szanujący się myśliwy, posiadający choćby podstawową wiedzę teoretyczną o tej wyjątkowej metodyce łowieckiej, nie głosi już tak niedorzecznych opinii.

Specyfika użytkowania łuku czyni zeń narzędzie wyjątkowo bezpieczne. Nawet w krajach, w których organizowane są polowania zbiorowe z użyciem łuku, jak dotąd nieznanne są przypadki postrzałów uczestników polowania – czy to wyniku niezachowania zasad bezpieczeństwa, czy też wskutek nieprzewidywalnych rykoszetów.

Łuk jako wyzwanie przyciąga do łowiectwa wielu młodych ludzi. Metodyka łucznicza wymaga żelaznej dyscypliny w wielu obszarach, począwszy od systematycznych, trudnych treningów strzeleckich – daleko wykraczających poza typowe, sportowe strzelanie z łuku – poprzez naukę maskowania swojej obecności obejmującą m.in. umiejętność pozbywania się ludzkiego zapachu, cichego poruszania, maskowania wizualnego, a skończywszy na skomplikowanej sztuce wspinania się i polowania z drzew.

Do cytowanych powyżej we wstępie słów dra Pope, dodać należy, iż mamy tu broń bezpieczną, ale i skuteczną zarazem, humanitarną, a jednocześnie tak trudną, tak wymagającą, iż pozostaje ona poza zasięgiem tych, którzy w łowisku wybierają drogę na skróty, funkcjonując częstokroć poza marginesem obowiązującego prawa i etyki łowieckiej.

W obliczu narastającego kryzysu wizerunku łowiectwa, idea myślistwa łuczniczego jest oficjalnie promowana przez międzynarodowe organizacje łowieckie, a walory łuku zdaje się dostrzegać i doceniać coraz więcej krajów. Stopniowo kolejne państwa dopuszczają łuk do polowań, niejednokrotnie wyznaczając łucznikom specjalne zadania, które z uwagi na specyficzne uwarunkowania pozostają poza możliwością realizacji z użyciem broni palnej, a dotychczasowe metody nie zdają egzaminu, mnożąc jedynie koszty. Sztandarowy przykład stanowią polowania łucznicze na obrzeżach miast w obrębach ich administracyjnych granic. Myśliwi z łukami w sposób sku-



teczny i humanitarny, a jednocześnie dyskrejonalny, zapobiegają migracji zwierzyny na tereny miejskie, gdzie prócz typowych szkód uciążliwych dla mieszkańców miast, w postaci zbuchtowanych ogródków i trawników, zwierzęta mogą realnie zagrozić bezpieczeństwu wałów przeciwpowodziowych, przenosić niebezpieczne choroby, zagrozić bezpośrednio zdrowiu, a nawet życiu ludzkiemu. Wieloletnie doświadczenia tych krajów stanowią potwierdzenie, iż łucznicy stanowią skuteczną zaporę przeciw napływowi na tereny zurbanizowane nieproszonych gości.

W kniei natomiast polowanie z łukiem daje poczucie wyjątkowej wolności i bliskości z naturą. Łucznika w wyborze zasiadki nie ogranicza dostępność stacjonarnych ambon, albowiem ma on praktycznie tyle możliwości, ile w łowisku jest drzew, mogących służyć mu schronieniem pod swymi koronami. Bezpośrednie i niemal nieograniczone obcowanie z naturą bardzo szybko uczy wobec niej pokory i szacunku, budzi nieodpartą chęć zachowania jej bogactw dla przyszłych pokoleń – niewątpliwie uwrażliwia na wiele aspektów pozostających dotąd poza percepcją łowcy ograniczonego przestrzenią drewnianej ambony. Polując z drzew, łucznik nie tylko zyskuje szaloną przewagę zaskoczenia nad zwierzyną, ale ma jednocześnie niepowtarzalną okazję być świadkiem niezwykle spektakli natury rozgrywających się tuż pod jego stopami, niemal na wyciągnięcie ręki. Kto choć raz doznał owych magicznych chwil, zawsze już będzie wybierał trud mozolnej i niełatwej wspinaczki

nadrzewnej, aby ponownie być świadkiem tajemnic skrywanych w leśnych ostępach.

Kiedy łucznik przemierza knieję, musi poruszać się na podobieństwo dzikiego zwierza. Przemieszczając się pod wiatr, ostrożnie i powoli stawia stopy w sposób niesłyszalny dla niego samego i jednocześnie dzieli swą uwagę na dokładne lustrowanie okolicy w poszukiwaniu zwierzyny. Kiedy ją dostrzeże, podchód zamienia się w płynne, aczkolwiek bardzo powolne, pełne nagłych zastygnięć i bezruchów skradanie, jakiego nie powstydziłby się ryś. Na dystansie 20 metrów od celu, musi wykonać najtrudniejsze zadanie – w sposób nierejestrowalny przez zwierzę musi naciągnąć łuk i oddać precyzyjny strzał do zwierzyny wciąż pozostającej nieświadomą obecności łowcy. Jeśli w tym ostatnim, decydującym momencie, cokolwiek zdradzi swą obecność, w jakikolwiek sposób zaniepokoi zwierzę – nie wolno mu oddać strzału. Bezwzględnie musi pozwolić zwierzęciu odejść. To najwyższy stopień wtajemniczenia pośród myśliwych łuczników.

Wszystkie wysiłki i wyrzeczenia, którymi łucznik okupił łowiecki sukces, sprawiają, iż powodzenie w łowach nabiera wyjątkowego smaku, niezwykłego wymiaru. Nie sposób przejść nad nim do porządku dziennego, nie sposób go nie celebrować, nie uczcić zgodnie z odwieczną tradycją łowiecką.

W aspekcie psychologicznym łuk budzi wśród większości społeczeństwa pozytywne skojarzenia nawiązujące do mitycznych bohaterów, legendarnych postaci czyniących dobro a przeciwstawiających się uciskowi ludu. Łuk coraz częściej jako atrakcja pojawia się na wszelkiego rodzaju spotkaniach integracyjnych, festynach, targach, gdzie dorośli przypominają sobie błogie chwile dzieciństwa, zaś dzieci odkrywają magię strzały, która częstokroć staje się alternatywą dla elektronicznych zabawek będących zmorą naszych czasów. Sportowa odmiana treningu myślistwa łuczniczego – tzw. łucznicze zawody terenowe 3D – stanowi wspaniałą formę integracji rodzinnej na świeżym powietrzu, rokrocznie przyciągając coraz więcej chętnych do uprawiania rodzinnie tej odmiany sportu. Symulacje sytuacji, jakie mogą spotkać w łowisku polującego z łukiem, w naturalny i subtelny sposób rozbudzają pasję łowiecką wśród dzieci i młodzieży, której z radością i satysfakcją przyglądają się polujący rodzice.

Wszystko to sprawia, iż łuk po długim okresie zapomnienia ponownie wraca do łask pośród tych, którzy w łowiectwie poszukują spełnienia i realizacji swojej największej życiowej pasji, którą jednocześnie pragną dzielić ze swoimi najbliższymi.

Mamy tu broń zaiste wyjątkową pod każdym względem.



...a wiosną i latem



bywa tu tak

W Dolinie Baryczy (2)

Tekst i zdjęcia: Łukasz i Małgorzata Stokłosowie

Witam serdecznie w drugiej części krótkiej opowieści o przepełnionej naturą dolinie, której brzegi obmywa rzeka Barycz. Wiosna w ostatnich latach rozpoczyna się nagle, tym samym redukując bagaż na wyprawę. Dzień znacząco wcześniej otwiera oczy skrzydlatym mieszkańcom. Nie pozwalając na chwilkę dodatkowej drzemki, motywuje do poszukiwań śniadania. My swoje już zjedliśmy i możemy podglądać zuchwale innych.

Wiosenny czas przylotów jest odczuwalny stale, na każdym kroku. Śpiew trwa bez przerwy, z traw dobiega przyjemne hałaśliwe muzykowanie mniejszych mieszkańców okolicy, a nad głową częściej słychać szum skrzydeł. Wczesna wiosna to bardzo dobry czas na wędrowki, ponieważ owady nie dręczą tak mocno, a i upał nie każe przemykać szybko przez otwarte przestrzenie między lasami i stawami. Można spokojnie przysiąść nad brzegiem wody i podziwiać przyrodniczy spektakl.

To właśnie w tym czasie odkryliśmy miejsce o dźwięcznej nazwie „Zamek myśliwski”, oddalone nieco od głównego kompleksu stawów. Ta miejscowość przyciąga swoją dzikością i odczuwalnym brakiem ingerencji człowieka w drzewostan, przez co spacer jest bardziej odprężający. Po drodze spotykamy mniejsze ptaki poszukujące materiału do wybudowania i wyposażenia swojego gniazda we wszystkie wygody, a na stawach zapoznają się ze sobą łabędzie i perkozy podczas dobrze znanego im tańca. Bardzo często odbywają się łyski, tocząc zaciekłe boje o teren przy zaroślach. Woda daje przyjemny, słoneczny odbłask, który mnie osobiście nastroja wakacyjnie. I tu taka mała przestroga. Na tę piękną okoliczność warto mieć na głowie czapkę z daszkiem, a pod ręką sprzęt optyczny dobrze redukujący aberracje obrazu, czyli prosto mówiąc lornetkę lub obiektyw, który nie dopuszcza do powstawania kolorowych otoczek na krawędziach bardziej kontrastowych

obrazów, tak jak tutaj – ptasi model na tle falujących smug światła na tafli wody. Z doświadczenia wiemy, że ten czynnik potrafi skutecznie zniechęcić do wpatrywania się w przyrodę i zepchnąć wyprawę do czynności bardziej przyziemnych, jak jedzenie przekąsek w przyjemnym otoczeniu, a nie o to tu przecież chodzi. Owszem, można spędzać czas na bardziej obleganych, wygodnych szlakach w pobliżu restauracji, bo trzeba sobie uświadomić, że wiosno-lętняя pora sprzyja wszelakiej turystyce, ale aby móc nacieszyć się tą krainą i wynieść z niej coś inspirującego dla siebie, wręcz nie należy iść za tłumem.

W porze letniej, kiedy już śpiew troszkę cichnie, w końcu prawie każdy ptasi kumpel już poznał drugą połówkę i zagarnął co lepsze podwórko, można spotkać ledwo co opierzoną młodzież, czyli podlotki. Godziny spędziliśmy na kibicowaniu w nauce lataania i szukaniu szeleszczących w ukryciu młodych leśnych lokatorów. Na tafli większych stawów ślady na wodzie pozostawiają małe ptaki wodne, podążając szybko za czujnymi rodzicami.

Podczas najdłuższych dni w roku można spokojnie zaplanować wyprawę z odwiedzeniem np. dwóch rejonów Doliny Baryczy podczas jednego dnia bez konieczności noclegu. Powroty, choć smutne, są dużo bardziej przyjemne niż te, które pamiętamy z mroźniejszych i mroczniejszych miesięcy. Tym bardziej że w pobliżu drogi na polanach w malowniczym zachodzie słońca rozpoczynają kolację stada dzikiej zwierzyny. Nie przerywając im, jedziemy powoli dalej, uważając na futerkowych przechodniów i porządkując wspomnienia z całego dnia przed snem. W następny weekend może znowu powrócimy. Może zobaczymy rodzinę bielików w komplecie, może uda nam się wstać wcześniej i zaobserwujemy śniadanie białych czapli pośród porannych mgieł, może ponownie będziemy mieli szczęście w drodze powrotnej przywitać się z białym daniem. Kto wie...











India & Lion Rifle

– świat egzotycznych doznań

Tekst: Jacek Seniów
Zdjęcia: Terry Allen (Westley Richards),
archiwum Paula Lantucha



W roku 2012 firma Westley Richards obchodziła jubileusz 200-lecia powstania. Między innymi z tym faktem są związane takie projekty broni kolekcjonerskich jak India Rifle i Africa Rifle. Niejako po drodze powstała Lion Rifle, a ich graverunki zaprojektował i wykonał Paul Lantuch, o którym pozwolę sobie powiedzieć później kilka słów. Obie wspomniane bronie są dedykowane polowaniom na dwóch kontynentach, na których bronie Westley Richardsa były najczęściej używane i gdzie narodziła się tradycja ich kolekcjonowania jako nie tylko przedmiotów użytkowych, ale jednocześnie dzieł sztuki rusznikarskiej i wzornictwa.

India Rifle jest podziękowaniem i ukłonem wobec indyjskich maharadzów, którzy odegrali tak ważną rolę w rozwoju branży rusznikarskiej w latach 1900–1930. Dzięki ich zamięłowaniu do polowania i broni myśliwskiej powstawały kolejne egzemplarze wyjątkowych broni Westley Richardsa przynoszące nowe, coraz doskonalsze rozwiązania techniczne. Spełniały też one oczekiwania estetyczne przyszłych właścicieli. Ich wygląd jest zapisem wspaniałej epoki, która niestety przeszła do historii. Jest też przykładem wyjątkowego piękna i złożoności tamtych czasów, odbiciem ich kolorytu i klimatu.

Realizacja India Rifle trwała siedem lat, a było w nią zaangażowanych około 30 osób, z których każda była mistrzem i indywidualnością w swoim fachu. Znajdowali się po dwóch stronach Atlantyku – rusznikarze w Anglii, a graver w USA. Przez ponad rok trwały rozmowy, dyskusje, powstawały szkice konkretyzujące przyszły kształt dzieła i pozwalające na stworzenie jego spójnej wizji. Prawdopodobnie to najtrudniejszy moment w całym procesie powstawania tej strzelby. Inspiracją rusznikarską był ekspres płaski Webley & Scott kalibru .600 NE na długich zamkach. Egzemplarz takiej broni trafił do firmy jako broń używana do dalszej odsprzedaży i zwrócił uwagę pięknymi proporcjami i ogólnym charakterem. Robił wrażenie swoją urodą i siłą z niego bijącą. Przyjęto jego proporcje w opracowywanym projekcie technicznym. Wprowadzono do niego typowe dla Westley Richardsa rozwiązania jak Model C zasuwę zamykającą i sworznię blokującą w kształcie „głowy lalki”, tzw. „doll's head”. W 1871 roku Westley Richards pierwszy na świecie zastosował mosiężną łuskę, z której korzystamy wszyscy do dnia dzisiejszego i wprowadził w dalszych latach takie kalibry jak: .500, .470, .476, .500/450 czy .500/465, ale nigdy do tej pory nie budował tak dużego kalibru jak .600 NE. Było to kolejnym wyzwaniem konstrukcyjnym.

Jednak tym, co chyba najsilniej działa na odbiorcę oglądającego dany egzemplarz broni kolekcjonerskiej, jest jej zdobienie. Jak wspomniałem, w swo-





Grawerunki Lion Rifle

im założeniu miało opisywać epokę maharadzów, przenosząc nas w jej klimat. Zdawano sobie sprawę z tego, że będzie to bardzo trudne przedsięwzięcie i najkosztowniejsze od czasu słynnej Boutet Gun zrealizowanej w 1985 roku. Po rozmowach z paroma grawerami prace powierzono Paulowi Lantuchowi z USA. Zwrócił na siebie uwagę głównie swoimi pracami dla Rugera. Dostrzegł go Anthony Alborough – Tregear „Trigger” i powiedział o tym Simonowi Clode’owi, właścicielowi firmy.

Paul Lantuch dorastał w Wilnie, mieście przepojonym barokową architekturą. Mieście wielokulturowym, gdzie mieszały się wpływy litewskie, polskie, rosyjskie i żydowskie, tworząc swoisty koktail kulturowy. Dla niejednego wrocławianina byłby rodakiem. Od dziecka pasjonowała go jazda konna i rysowanie, a z czasem sztuka stała się sensem jego życia. Studiował w Wileńskim Instytucie Sztuki. Momentem przełomowym była wizyta w Ermitażu, gdzie dzięki przyjaźni z kuratorem działu broni i uzbrojenia miał możliwość obejrzenia niepokazywanej ekspozycji „Złota Scytów”. Gnębił go konflikt z władzą, dla któ-

rej jest artystą nieprawomyślnym. Biegłość i artyzm jego prac zwracają uwagę na młodego twórcę, a ten stara się żyć z prywatnych zamówień. Zamówienie państwowe przychodzi z samego Biura Politycznego Komitetu Centralnego KPZR. Realizuje dla pierwszego sekretarza KC KPZR Leonida Breżniewa szkatułkę. Pod pokrywającymi ją emaliami chowa grawerunek niekończącej się listy rosyjskich klątw i przekleństw. Otrzymuje bilet w jedną stronę i tak z rodziną znajduje się w USA.

Piszę o tym, bo to wszystko znajduje gdzieś swoje odbicie w charakterze i stylu jego twórczości. Elementy, które stosuje w swoich grawerunkach, linia, którą wydobywa je z papieru lub metalu, nawiązują tak do wileńskiego baroku, jak i do ilustracji rosyjskiej baśni. Odwaga i zadziorność spojrzenia połączone są z głęboką refleksją, znajomością merytoryczną i historyczną tematu, poszukiwaniem jego istoty i ducha. Wszystko perfekcyjne w detalach i stanowiące absolutną całość, która przemawia do odbiorcy. Aby mieć taką możliwość wyrażania siebie, swoich myśli, potrzeba osiąść jeszcze absolutną perfekcję tech-

nologiczną i techniczną, stanowiącą podstawę precyzji i piękna przekazu. To widać we wszystkich pracach Paula Lantucha. Wszystko razem pozwala mu stworzyć takie dzieło jak India Rifle. Przenieść nas, gdy patrzymy na tę broń, w tamten świat, świat indyjskich maharadzów, egzotycznych doznań, klimatów. Należy złożyć mu hołd za to, jakim był.

Lion Rifle to dla mnie opowieść o Afryce i Królu Zwierząt. Perfekcyjnie wykonany grawerunek zwierząt ujętych w dynamicznym ruchu opowiada o ich życiu stylem bajki czy baśni barokowej. Przywodzi już na pierwszy rzut oka swym obrazem myśl o lwach czasów Wazów i nawiązuje do wizerunku lwa brytyjskiego z epoki jego wciąż rosnącej potęgi. To zachwycająco perfekcyjnie wykonane rytowanie w stylu rysunku nawiązującym do XVIII-wiecznych rycin. Tylko że tu lew, wbrew pozorom i utartym poglądom, jest niekoniecznie władczy, gniewny czy groźny. Raczej naturalnie czujący swobodą zachowania, ciepły i przyjacielsko zabawny, jak Afryka.

Paul Lantuch przy pracy





Grawerunki projektu i wykonania Paula Lantucha



Gospodarowanie populacją jelenia

– poszukiwanie optymalnych rozwiązań

Tekst: Franciszek Banaszewski

Zdjęcia: Franciszek Banaszewski, Fotolia

Co pewien czas rozgrzewa się dyskusja nad zmianą zasad selekcji dotyczących odstrzału jeleni byków. Trwający od ponad pięciu lat okres, w którym ograniczony jest odstrzał ilościowy właśnie jeleni byków oraz zmiana zasad selekcji w II klasie wieku, tj. pomiędzy szóstym a dziesiątym rokiem życia, miała przynieść zadowalające, a nawet rewelacyjne rezultaty. Myślę, że dla dobra naszych jeleni należy jeszcze raz przeanalizować zasady selekcji, tak aby jak w starym polskim przysłowiu „wilk był syty i owca cała”. Należy zadać sobie pytanie, do czego ma doprowadzić selekcja: czy do uzyskania osobników o odpowiednim trofeum, czyli medalowym, czy zmniejszenia liczebności samców w populacji o mniej lub bardziej wyraźnych cechach niepożądanych do dalszej hodowli. Nigdy przecież nie doprowadzi się do stanu, gdzie będą tylko same medalowe czy same selekty. W nawet najlepiej prowadzonej „hodowli” zdarzają się wadliwe osobniki powstałe z krzyżówki ogromnej puli genowej występującej w danej populacji, tym bardziej jeśli okazuje się, że większość cech uwidacznia się pod wpływem warunków środowiskowych. Zmiana choćby jednego czynnika powoduje uwidacznianie się ukrytych do tej pory cech pożądanых lub negatywnych. Dobrym przykładem fenotypowych zmian osobniczych jest jeleni szlachetny zamieszkujący w Nowej Zelandii, wywodzący się z jeleni szkockich, które nigdy ze względu na warunki klimatyczne nie osiągały takich rozmiarów tuszy i poroża, jak właśnie na drugiej półkuli.

Populacja jeleni składa się z osobników, które w różnym wieku osiągają swoje maksymalne rozmiary (dotyczy to zarówno masy ciała, jak i nakładanego poroża). Badania prowadzone nad populacją jeleni w różnych warunkach środowiska naturalnego udowodniły, że u jeleni żyjących w ostrych warunkach klimatycznych dominują osobniki wolno rosnące, a więc takie, które swoje maksymalne rozmiary masy ciała osiągają zazwyczaj pomiędzy ósmym a dziewiątym rokiem życia. Natomiast dla łagodnych warunków klimatycznych, charakterystycznych dla Polski zachodniej, osiągnięcie maksymalnej masy ciała przypada pomiędzy siódmym a ósmym rokiem życia. W skrajnych przypadkach, w zależności od indywidualnych predyspozycji osobnika, następuje to w wieku sześciu lub dziesięciu lat. Rozważając w dalszym ciągu rozwój osobniczy w powiązaniu z nakładanym porożem, stwierdza się jednoznacznie, iż jego kulminacja przypada zwykle dwa lata po osiągnięciu maksymalnej masy ciała i utrzymywana jest przez następne trzy–cztery lata. Reasumując można stwierdzić, iż po zakończeniu dorostania, które kończy się pomiędzy piątym a szóstym rokiem życia, byki wchodzi w tak zwany okres dojrzewania, trwający

około dwóch lat. W kolejnych latach życia mówimy o bykach już dojrzałych, które osiągają w tym okresie maksymalne rozmiary ciała, to znaczy osiągnęły lub stopniowo osiągają pełny rozwój fizyczny. I właśnie w tym okresie rozwoju, trwającym przez pięć lat, jedynym kryterium selekcji jest forma nakładanego przez nie poroża.

Wychodząc z założenia, że masa tuszy i poroża są ze sobą wzajemnie powiązane (Kelly i in., 1987), należy rozważyć zasadność odstrzału w tej fazie rozwoju byków jednostronnie koronnych o ponadprzeciętnej masie poroża, czyli byków o trofeum medalowym, które oprócz tego charakteryzują się dużą masą ciała. W okresie rykowiska podlega ona znacznemu spadkowi i może być różna w zależności od fazy okresu godowego. Jednakże pozostające niezmiennie rozmiary ciała znacząco określają nam wielkość danego osobnika. Pomocą w określeniu przypuszczalnej masy byka jest porównanie jego rozmiarów z sylwetką największej łani w prowadzonej chmarze. Natomiast wielkość i masę wieńca określamy, porównując długość profilu czaszki byka, która średnio u osobników w tym przedziale wiekowym wynosi około 40 cm, do wysokości tyk na zasadzie odkładania jej na tykach obserwowanego z boku jelenia. Jeżeli przewyższa ona dwie długości profilu, a grubość tyk zbliżona jest do średnicy łyżki przy łbie, śmiało możemy stwierdzić, że mamy przed sobą byka o mocnym porożu, kwalifikującym się do medalu.

Masa i kształt poroża, jak wykazują badania (Bobek i in., 1992), są uwarunkowane dwoma niezależnymi zespołami genetycznymi. Należy przypuszczać, że jedna z tych cech dziedziczona jest w niewielkim stopniu, a jej rozmiar i natężenie zależy od warunków środowiskowych. W wyniku prowadzonych obserwacji oraz na podstawie zebranego materiału mogą śmiało stwierdzić, iż tą cechą jest forma (kształt) nakładanego poroża. Szybkość wzrostu (nakładania) poroża określa się na poziomie około 1 cm na dobę, więc jakkolwiek czynnik zewnętrzny, zmieniający się choćby nawet w przeciągu kilku lub kilkunastu dni w postaci opadów śniegu, przymrozków, ograniczenia dostępności do pożywienia, stresu itp. będzie miał kluczowe znaczenie w końcowym efekcie nakładanego poroża. Dodatkowo na kształt tak szybko rosnącego poroża będą miały wpływ wszelkiego rodzaju uszkodzenia mechaniczne. Z moich obserwacji wynika, iż w zależności od panujących warunków środowiskowych w okresie zaraz po zrzuconiu poroża oraz w początkowej fazie jego budowy miały one wpływ na jakość pod względem formy budowanego poroża. Obserwowane osobniki nie wykształcały korony na jednej z tyk w niesprzyjających warunkach klimatycznych lub odwrotnie, gdy warunki były do-

godne, wykształcały korony na obu tykach. Korony zawsze składały się z trzech odnóg, które były mocne i długie. W przypadku wykształcania widlicy zawsze na jednej odnodze wyraźnie można było stwierdzić początki budowania dodatkowej odnogi. Szacunkowa masa nakładanego poroża nie ulegała zmianie, a w niektórych przypadkach można było stwierdzić nawet jej wzrost przy braku korony na jednej z tyk. Tak więc byk jednostronnie koronny nie zawsze nim jest. Mamy tu do czynienia z fenotypem, czyli całokształtem cech osobnika powstających w wyniku oddziaływania genotypu (zestawu genów) i środowiska, w którym zwierzę żyje.

„Medalowy selekt” – paradoks selekcji pomiędzy szóstym a dziesiątym rokiem życia

W obecnie obowiązujących zasadach selekcji w drugiej klasie wieku jako czynnik stanowiący o prawidłowości odstrzału przyjęto kryterium formy poroża. Wszystkie byki o porożu w formie niekoronnej i jednostronnie koronnej, bez względu na jego masę, są osobnikami selekcyjnymi. Biorąc pod uwagę poniższe rozważania, należałoby zadać sobie pytanie: czy konieczne? Analizując strategię hodowlaną dla zwierząt gospodarskich, samce rozplodowe dobierane są według ściśle określonych wzorców, w których dominuje masa ciała, a to, czy byk ma jeden róg trochę krzywy lub krótszy, ma znikome znaczenie. Podobnie rzecz ma się podczas rozrodu w populacjach wolno żyjących. Wiadomo, że masa tuszy ma decydujące znaczenie w pokonywaniu rywala w czasie rykowiska. W związku z tym byki o małej masie ciała, a tym samym małej masie wieńca, nie mają szans przekazania swoich cech następnemu pokoleniu, o ile, jak wskazują doświadczenia z większości łowisk, byki z najcięższymi porożami nie zostały odstrzelone na początku rykowiska, bo są jednostronnie koronne. Podczas rykowiska o wyborze partnera do kopulacji w wielu przypadkach decyduje łania, kierując się nie zawsze ilością odnóg w porożu, lecz jego wielkością, a przede wszystkim masą ciała (Bobek i in., 1992). W wyniku wielu obserwacji jednoznacznie można stwierdzić, że większa liczba rozgałęzień w porożu pomaga przy osadzeniu rywala w miejscu, jednakże nie utrudnia zadania bezpośrednich ciosów przeciwnikowi w czasie walki. O niebezpieczeństwie podczas starcia rywali będzie zawsze decydowała wielkość rozłogi. W głównej mierze ma znaczenie, czy dojdzie do zwarcia, czy tyki się miną. Obserwacje i zestawienia walk byków podczas rykowiska przeczą ogólnemu przekonaniu, że byki z dużą (głęboką) widlicą mogą być bardzo niebezpieczne. Tego typu poroże pozwala skutecznie osadzić przeciwnika w miejscu,

mimo iż byk posiadający mało rozgałęzień jest narażony na wiele uderzeń w nieosłonięty łeb i kark. Tak więc o zwycięstwie w walce decyduje masa ciała i poroża oraz dodatkowo nabyte umiejętności podczas walk staczanych w okresie rykowiska.

Potomstwo jednej pary rodziców różni się od nich wieloma cechami. Można z tego wysnuć bardzo prosty wniosek, biorąc pod uwagę zasady dziedziczenia, a w szczególności występowanie genów recesywnych i dominujących, że potomstwo byka jednostronnie koronnego o dużej masie ciała i poroża nie zawsze będzie takie jak ojciec, ponieważ oprócz przekazywanych cech w genotypie w każdej chwili może ujawnić się koronność jako cecha fenotypowa.

Tak więc dany osobnik, żyjący w warunkach naturalnych, na którego organizm oddziałuje wiele czynników, w jednym roku będzie nieregularnym obustronnie koronnym dwunastakiem, w następnym regularnym obustronnie koronnym dwunastakiem z perspektywą na nieregularnego czternastaka, by w kolejnym, po długo zalegającej pokrywie śnieżnej w okresie wiosennym (do połowy kwietnia), wykształcić poroże dwunastaka w formie jednostronnie koronnej, by w następnym roku... Nie wiadomo, co by nałożył, gdyż został odstrzelony jako osobnik selekcyjny o trofeum medalowym (wiek dziewięć lat, ciężar wieńca 7,4 kg, wstępna wycena medalowa około 178 punktów CIC – medal brązowy). A przecież dopiero co zakończył osiąganie maksymalnych rozmiarów ciała (tuszy), zakończył dojrzewanie, a w dalszej kolejności, po upływie następnych dwóch lat, osiągnąłby maksymalny ciężar wieńca, czyli 8, a może 9 kg. W każdym tym okresie swojego życia był dominantem podczas rykowiska. Byki o podobnych rozmiarach tuszy i poroża pojawiały się na arenie dopiero, gdy on kończąc rykowisko usuwał się „w cień”. Wielokrotnie obserwowałem jednostronnie koronne byki w przedziale sześć–siedmioletnim, których poroże w następnych latach posiadało korony na obu tykach. Kolejny przykład to sześć–siedmioletni jednostronnie koronny dwunastak o masie tuszy 180 kg (!) i masie wieńca 6,5 kg, czekający na wycenę medalową. Innym przykładem, ale już z oceny prawidłowości odstrzału, jest dwunastak jednostronnie koronny o masie wieńca 6 kg, wyceniony wstępnie na brązowy medal w wieku zaledwie – jeszcze raz powtórzę – zaledwie sześciu lat, który zgodnie z obowiązującymi kryteriami oceniono jako odstrzał prawidłowy. Te pojedyncze przypadki, uważam, że nieodosobnione, są potwierdzeniem na konieczność zmian w selekcji.

Przytoczone przykłady „medalowych selektów” w jednoznaczny sposób obrazują, jak ważna jest znajomość poszczególnych osobników bytujących

w danym łowisku (rejonie), ponieważ nie każdy spotkany w łowisku byk jednostronnie koronny w drugiej klasie wieku taką formę poroża wykształcał do tej pory i w kolejnych cyklach będzie ją powtarzał – dotyczy to w szczególności poroży medalowych.

Co jeszcze przemawia za oszczędzaniem byków jednostronnie koronnych o trofeum medalowym, w szczególności na początku II klasy wieku? Są to kryteria wyceny punktowej wieńców jeleni. Analizując wycenę medalową na podstawie arkusza wyceny w poszczególnych kategoriach, można jednoznacznie stwierdzić, że za obecność korony na obu tykach można dać od 4 do 10 punktów przy jej wycenie, co stanowi tylko 3–6% ogólnej wyceny medalowych poroży. Przy wycenie koron wieńców liczbę odnóg bierze się łącznie na obu tykach. I tak: jeżeli mamy na obu tykach łącznie osiem odnóg (4+4) i brak jest odnóg długich oraz jest tylko jedna odnoga średnia – można przyznać 4 punkty, natomiast przy pięciu odnogach (statystycznie większość byków jednostronnie koronnych), a odnogi są długie i mocne, można przyznać również 4 punkty. Z powyższego zestawienia widać, że fakt dwustronnej korony nie przysparza wielu punktów. Na maksymalną ocenę 10 punktów łączna liczba odnóg powinna wynosić powyżej dziesięciu i więcej, przy tym muszą one być długie i mocne. W systemie punktacji medalowej najwięcej punktów można otrzymać za długość tyk, a następnie kolejno za dolny i górny obwód tyk, obwód róż, masę poroża, a dopiero potem za łączną liczbę odgałęzień. Podsumowując wycenę medalową poroży jednostronnie koronnych, należy stwierdzić, iż byk o wieńcu brązowomedalowym w wieku sześciu lat ze stuprocentową pewnością w 10 porożu kwalifikować się będzie do medalu srebrnego. Może warto

więc przyjąć zasadę, która obowiązuje w odstrzale byków starych, iż lepiej pozyskać byka rok za późno niż rok za wcześniej.

Eliminując pomiędzy szóstym a dziesiątym rokiem życia byki o dużej masie poroża, ale jednostronnie koronne, w przyszłości możemy pozbawić się z wielu naszych łowisk najlepszych reproduktorów. Dlatego też każdy byk o trofeum medalowym przed osiągnięciem kulminacji rozwoju poroża musi być bezwzględnie oszczędzany. Ażeby to osiągnąć, należy wprowadzić dodatkowe kryterium dla tej klasy wieku (a w nowych zasadach selekcji od piątego do dziewiątego poroża) w postaci zakazu odstrzału osobnika o trofeum medalowym na odstrzał selekcyjny. Ponieważ paradoksem jest stwierdzenie „medalowy selekt”, jeżeli mamy do czynienia z osobnikiem dojrzewającym lub dojrzałym, lecz jeszcze niebędącym u szczytu wykształcanego poroża. Jak osobnik posiadający medalowe poroże może być jednocześnie osobnikiem selekcyjnym?!

Jeżeli pozostawiamy w kryteriach odstrzału tylko formę poroża, rezygnując z kryterium masy, należy bezwzględnie dodać tzw. kryterium trofeum medalowego. Sezon polowania na jelenie byki trwa ponad pół roku, więc z proponowanym prawidłowy odstrzał nie powinien stanowić problemu. Należy tylko zmienić mentalność większości selekcjonerów o strzelaniu byków na tzw. ścianę albo pierwszego, który wpisuje się mniej lub bardziej w ramy obecnie obowiązującej selekcji z tendencją do strzelania jednostronnie koronnych, gdyż albo „jeden czerwony” w dotychczas obowiązujących kryteriach, albo „prawidłowo” w zależności od wieku. I tu nasuwa się pytanie: jak rozpoznać tę naprawdę subtelną różnicę w wyglądzie byka?





Występowanie dzikich zwierząt na terenach zurbanizowanych jest czymś powszechnym, stąd obecnie w aglomeracjach miejskich nie mówimy już o sporadycznych incydentach z udziałem dzikich zwierząt, lecz o pokoleniach zwierząt urodzonych i wychowanych w sąsiedztwie siedzib ludzkich. Synurbizacja dzikich zwierząt jest problemem dotyczącym wszystkich, zarówno aglomeracji miejskich jak i wiejskich.

DZIKIE

Tekst: Wojciech Tarkowski
Wydział Środowiska i Rolnictwa
Urzędu Miejskiego we Wrocławiu
Zdjęcia: Tomasz Stasiak

ZWIERZĘTA

– NASI

MIEJSKY

SĄSIEDZI

Samorządy, w zależności od skali problemów związanych z występowaniem dzikich zwierząt na swoich terenach, tworzą programy, podpisują umowy z wykonawcami, a nawet tworzą własne jednostki zajmujące się dzikimi zwierzętami. Powyższe działania realizowane są na podstawie art. 7 ust. 1 pkt 14 ustawy o samorządzie gminnym, który stanowi, że zadania własne gminy obejmują w szczególności sprawy porządku publicznego i bezpieczeństwa obywateli. Przebywanie dzikich zwierząt na terenach zabudowanych niewątpliwie może powodować zakłócenie porządku publicznego oraz stanowić zagrożenie zarówno dla mienia, jak i mieszkańców.

W pojedynczych przypadkach związanych z pojawianiem się dzikich zwierząt na terenach zabudowanych przedstawiciele gmin w pierwszej kolejności zwracają się do miejscowego koła łowieckiego o zwiększenie intensywności odstrzału zwierząt w sąsiedztwie terenów zagrożonych. Działanie takie jest jak najbardziej uzasadnione ze względu na fakt, że niemal zawsze całe miejscowości wchodzą w skład obwodów łowieckich – wykluczając tereny wyłączane na podstawie art. 26 ustawy Prawo łowieckie. Dodatkowo art. 11 cytowanej wyżej ustawy mówi o współdziałaniu dzierżawców i zarządców obwodów łowieckich oraz wójtów (burmistrzów i prezydentów miast) oraz nadleśniczych Państwowego Gospodarstwa Leśnego Lasy Państwowe w sprawach związanych z zagospodarowaniem obwodów łowieckich, w szczególności w zakresie ochrony i hodowli zwierzyny. W małych lokalnych społecznościach rozwiązanie takie często przynosi zamierzone rezultaty. Przy obecnym postrzeganiu łowiectwa w dużych aglomeracjach miejskich myśliwi niechętnie podejmują tego typu działania ze względu na częste spotkania z osobami postronnymi, dla których już sam widok myśliwego wzbudza niechęć i prowadzi do licznych konfliktów, kłótni, nasyłania policji itp. Nie bez znaczenia pozostaje również sprawa bezpieczeństwa.

W przypadku stałego przebywania zwierząt na terenach zurbanizowanych starosta może wydać decyzję administracyjną na podstawie art. 45 ust. 3 ustawy Prawo łowieckie na odłów lub odstrzał zwierząt stwarzających zagrożenie dla obiektów produkcyjnych lub obiektów użyteczności publicznej. Należy zwrócić uwagę, że tego typu decyzja wydawana jest w porozumieniu z Polskim Związkiem Łowieckim. W przypadku terenów wyłączonych z obwodów łowieckich porozumienie podpisuje Zarząd Okręgowy PZŁ, natomiast na terenach obwodów łowieckich dzierżawca lub zarządca obwodu.

Odstrzał redukcyjny jest rozwiązaniem tańszym i skuteczniejszym, wymaga jednak podjęcia przez starostę „niewygodnej” decyzji, która często spo-

tyka się z krytyką społeczeństwa i środowisk proekologicznych. O ile odstrzał będą mogli wykonać myśliwi z zaprzyjaźnionego koła łowieckiego, to odłowy redukcyjne powinniśmy zlecić profesjonalnym podmiotom (instalacja lub budowa odłowni, transport zwierząt itp.). Dodatkowo w przypadku dzików pozostaje problem z odłowionymi zwierzętami, których – przy obecnym zagrożeniu afrykańskim pomorem świń (ASF) – nie powinniśmy przemieszczać na znaczne odległości. Odłowy redukcyjne wśród społeczeństwa są postrzegane znacznie korzystniej, wykluczają również możliwość wypadku – postrzału.

Art. 33a ust. 1 ustawy o ochronie zwierząt mówi, że w przypadku, gdy zwierzęta stanowią nadzwyczajne zagrożenie dla życia, zdrowia lub gospodarki człowieka, w tym gospodarki łowieckiej, dopuszcza się podjęcie działań mających na celu ograniczenie populacji tych zwierząt. Podjęcie decyzji o redukcji populacji znajduje się w kompetencjach sejmiku województwa, który po zasięgnięciu opinii Regionalnej Rady Ochrony Przyrody, organizacji społecznej, której statutowym celem działania jest ochrona zwierząt, oraz Polskiego Związku Łowieckiego, określi w drodze uchwały miejsce, warunki, czas i sposoby ograniczenia populacji zwierząt stwarzających zagrożenie.

W przypadku konieczności uśmiercenia zwierzęcia zastosowanie znajduje art. 33 ust. 3 ustawy o ochronie zwierząt stanowiący, że w takim razie, w celu zakończenia cierpień zwierzęcia, potrzebę jego uśmiercenia stwierdza lekarz weterynarii, członek Polskiego Związku Łowieckiego, inspektor organizacji społecznej, której statutowym celem działania jest ochrona zwierząt, funkcjonariusz Policji, Straży Ochrony Kolei, Straży Gminnej, Straży Granicznej, pracownik Służby Leśnej lub Służby Parków Narodowych, strażnik Państwowej Straży Łowieckiej, strażnik łowiecki lub strażnik Państwowej Straży Rybackiej.

Zgodnie z art. 4 ust. 3 cytowanej ustawy przez konieczność bezzwłocznego uśmiercenia rozumie się obiektywny stan rzeczy stwierdzony przez lekarza weterynarii. Jeśli zwierzę może dalej żyć jedynie cierpiąc i znosząc ból, moralnym obowiązkiem człowieka staje się wówczas skrócenie tego cierpienia. Z powyższych przepisów wynika, że osobą do podjęcia decyzji o skróceniu cierpienia powinien być lekarz weterynarii, jeżeli jednak nie ma możliwości stwierdzenia takiej decyzji przez lekarza, to decyzję taką może podjąć każda pozostała osoba wymieniona w art. 33 ust. 3. Uśmiercenie musi być dokonane w sposób humanitarny, powodując jak najmniejsze cierpienie fizyczne i psychiczne zwierzęcia. Lekarz weterynarii uśmierca przez podanie środka usypiającego, pozostałe osoby przy użyciu broni pal-

nej. Z sytuacją taką najczęściej mamy do czynienia w przypadku kolizji drogowych z udziałem dzikich zwierząt. Służby porządkowe nie zawsze podejmują odpowiednie działania, czekając nawet kilka godzin na przyjazd lekarza lub myśliwego, który skróci cierpienie zwierzęcia.

Warto zauważyć, że stosownie z art. 25 ustawy o ochronie zwierząt prowadzący pojazd mechaniczny, który potrącił zwierzę, obowiązany jest, w miarę możliwości, do zapewnienia zwierzęciu stosownej pomocy lub zawiadomienia jednej ze służb, o której mowa w art. 33 ust. 3. Naruszenie tego obowiązku jest wykroczeniem zagrożonym karą aresztu lub grzywny – art. 37. Jednocześnie art. 45 ust. 1 pkt 6 ustawy Prawo o ruchu drogowym zabrania pozostawienia na drodze przedmiotów, które mogłyby zagrozić bezpieczeństwu ruchu; jeżeli jednak usunięcie ich nie jest możliwe, należy je oznaczyć w sposób widoczny w dzień i w nocy.

Zgodnie z art. 6 ust. 1 pkt 5 ustawy o ochronie zwierząt zwierzę może zostać zabite, jeżeli stanowi bezpośrednie zagrożenie dla ludzi lub innych zwierząt, w przypadku gdy nie jest możliwy inny sposób usunięcia zagrożenia. Analizując powyższy przepis prawa, stwierdzić należy, że na jego podstawie możemy (osoby wymienione w art. 33 ust. 3 u.o.z.) uśmiercić żółwia czerwonołbego w fosie miejskiej, psa goniącego sarnę czy dzika szarżującego na człowieka, ale tylko w przypadku, kiedy nie jest możliwy inny sposób usunięcia zagrożenia. Powyższy przepis nie porusza kwestii selekcji osobniczej, wieku, płci czy zachowania odległości od zabudowań, maszyn rolniczych i zgromadzeń ludzkich.

W przypadku, gdy nie zachodzi konieczność uśmiercenia zwierzęcia, najlepszym rozwiązaniem jest dostarczenie rannego osobnika do ośrodka leczenia i rehabilitacji zwierząt w rozumieniu art. 75 ustawy o ochronie zwierząt. Obecnie tylko na terenie województwa dolnośląskiego znajduje się siedem takich ośrodków (www.gdos.gov.pl). Gminy, mając na uwadze dbałość o szeroko rozumianą przyrodę, w tym zachowanie dziko żyjących zwierząt, powinny udzielić pomocy rannym zwierzętom przebywającym na ich terenie.

Odszkodowania

Odpowiedzialność za szkody łowieckie w uprawach i płodach rolnych oraz szkody powstałe przy wykonywaniu polowania wyrządzone przez dzikie zwierzęta na terenie obwodów łowieckich z pewnością nie wymagają komentarza. Skupmy się więc na szkodach powstałych na terenach wyłączonych z obwodów łowieckich. Art. 50 ust. 1b ustawy Prawo łowieckie stanowi, że Skarb Państwa ponosi odpowiedzialność

za szkody w uprawach i płodach rolnych wyrządzone przez dziki, łosie, jelenie, danielę i sarny na terenach niewchodzących w skład obwodów łowieckich. O ile powyższa ustawa reguluje kwestie odszkodowania za szkody spowodowane w uprawach i płodach rolnych, o tyle sprawa komplikuje się w momencie, kiedy mamy do czynienia z innymi szkodami wyrządzonymi przez dzikie zwierzęta, np. zniszczeniem trawnika na przydomowej posesji czy okaleczeniem psa. W takiej sytuacji jedynym zasadnym rozwiązaniem jest dochodzenie odszkodowania na podstawie art. 417 § 1 ustawy Kodeks cywilny, który mówi, że za szkodę wyrządzoną przez niezgodne z prawem działanie lub zaniechanie przy wykonywaniu władzy publicznej ponosi odpowiedzialność Skarb Państwa lub jednostka samorządu terytorialnego lub inna osoba prawna wykonująca tę władzę z mocy prawa. Z powyższego przepisu wynika, że odszkodowanie będzie nam przysługiwało tylko w przypadku, gdy właściwy organ przy wykonywaniu władzy publicznej nie podjął (zaniechał) działań, do których był zobowiązany w celu uniknięcia szkody.

W przypadku kolizji drogowej z udziałem dzikiego zwierzęcia w pierwszej kolejności należy ustalić czy na odcinku drogi, gdzie doszło do kolizji, był umieszczony znak A-18b „Uwaga, dzikie zwierzęta”. Jeżeli znak taki był, wówczas jedyną odpowiedzialność można przypisać samemu kierującemu. Jeżeli znaku nie było na danym odcinku drogi, wówczas należałoby ustalić, czy w miejscu tym jest szlak migracyjny zwierząt. Jego istnienie stanowić będzie w konsekwencji podstawę do ewentualnej odpowiedzialności podmiotu, który był odpowiedzialny za zamontowanie odpowiedniego oznakowania ostrzegawczego. Sąd Najwyższy w wyroku z 28 stycznia 2005 roku sygn. akt II CK 363/04 stwierdził, że obowiązek zasygnalizowania o potrzebie ustawienia znaku ostrzegawczego na odcinku drogi, na którym doszło do wypadku, powstaje tylko wówczas, gdy w tym miejscu istnieje stały, przecinający drogę szlak przemieszczania się zwierzyny. Warto wspomnieć również, że odszkodowanie od ubezpieczyciela naszego pojazdu nie zostanie wypłacone z tytułu ubezpieczenia OC. Szanse na pieniądze mają jedynie kierowcy, którzy wykupili dodatkowe ubezpieczenie AC.

Rozwiązanie problemu dzikich zwierząt na terenach zurbanizowanych nie jest proste, ponadto często wymaga podjęcia trudnych decyzji i współdziałania wielu służb. Zamiast zrzucać odpowiedzialność na inne urzędy czy podmioty, należy dołożyć wszelkich starań w zakresie własnych kompetencji, aby poprawić jakość życia ludzi z zachowaniem i poszanowaniem zwierząt wolno żyjących.



Pstryk...

przed i po

Tekst i zdjęcia: Tomasz Stasiak

Fotografia jest bardzo ważną częścią naszego czasopisma. Mamy nadzieję, że Czytelnicy to zauważają i doceniają. Technologia druku stawia przed nami pewne, dość wysokie, wymagania jakościowe. Jakość to jeden z naszych priorytetów, a ten krótki poradnik powstał po to, aby jak najlepiej wykorzystać fotograficzne umiejętności i sprzęt, i aby zdjęcia przekazywane nam do publikacji przez Czytelników były wartościowym uzupełnieniem tekstów.

Z czym do ludzi?

- Jaki jest najlepszy aparat fotograficzny?
- Taki, który masz przy sobie.

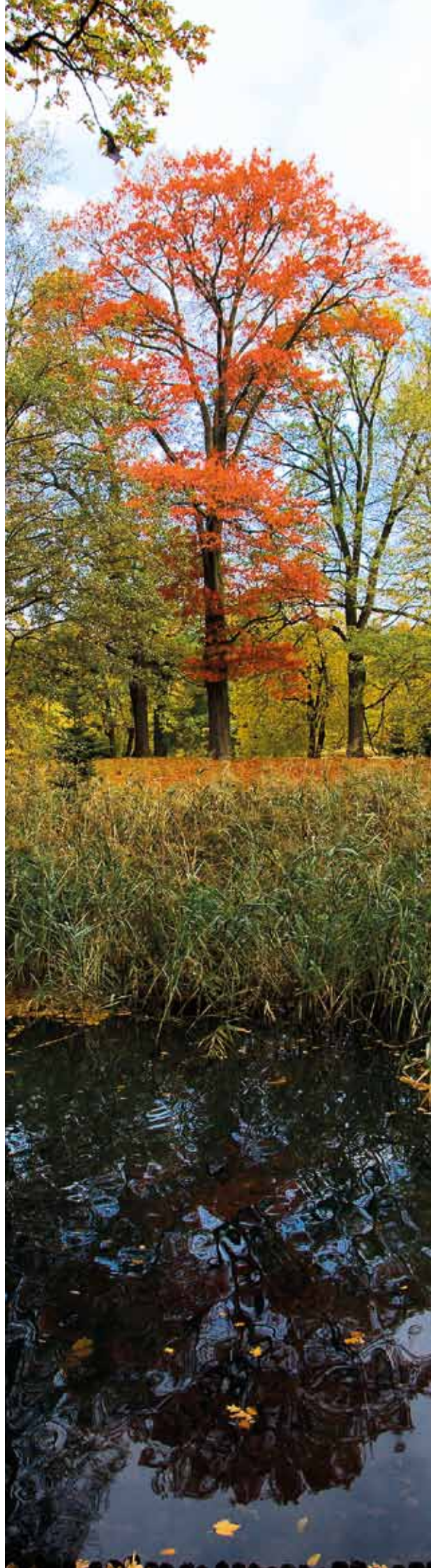
To powiedzenie, choć może wydawać się zabawne, jest bardzo prawdziwe. Przecież nie będzie pożytku z najlepszego nawet aparatu, który leży schowany w szafie. Obecnie niemal wszyscy mają przy sobie telefony komórkowe wyposażone w aparat fotograficzny. W większości przypadków wystarcza on do robienia pamiątkowych zdjęć. Jest mały, poręczny, zawsze dostępny. Niestety, miniaturyzacja ma swoją cenę. Jest nią przede wszystkim jakość zdjęć. Małutka matryca światłoczuła (czyli element odpowiedzialny za rejestrację obrazu) zbiera mało światła. W związku z tym uzyskany obraz musi zostać wzmocniony (rozjaśniony), co powoduje powstanie szumu. Aparat obra-bia obraz, żeby pozbyć się tego szumu, jednak zabieg ten prowadzi do degradacji jakości obrazu – rozmycia szczegółów. Straty są tym większe, im gorsze są warunki oświetleniowe. Sytuacji nie ratuje megapikselowa wojna, czyli wyposażanie telefonów w matryce o coraz większej rozdzielczości. Niestety, najczęściej jest tak, że większa liczba pikseli wcale nie przekłada się na poprawę szczegółowości obrazu – to jedynie

zabieg marketingowy. W uzyskaniu obrazów dobrej jakości przeszkadza również obiektyw, który w telefonie jest bardzo mały i ma uproszczoną konstrukcję.

Inaczej jest w przypadku zwykłych aparatów fotograficznych. Tutaj miniaturyzacja nie jest kluczowa, a konstruktorzy mogą skupić się na uzyskaniu obrazów jak najlepszej jakości, której można spodziewać się po lustrzankach i tak zwanych bezlusterkowcach. Jest to związane między innymi z możliwością zastosowania większej, lepszej matrycy. Bezlusterkowce to potoczna nazwa aparatów z wymienną optyką – jak w lustrzankach – lecz pozbawionych lustra i wizjera optycznego. W tych konstrukcjach miejsce wizjera optycznego zajął ekran LCD oraz wizjer elektroniczny (de facto to też ekran LCD, lecz dużo mniejszy). Aparaty bez lustra mają w porównaniu do lustrzanek tę zaletę, że są mniejsze i lżejsze, jednocześnie można w nich wymieniać optykę, dostosowując ją do potrzeb i zasobności portfela. Za to obecnie lustrzanki górują nad bezlusterkowcami szybkością działania i ilością dostępnych obiektywów oraz innych akcesoriów, co doceniają profesjonaliści.

Bardziej skomplikowana jest sytuacja w segmencie tak zwanych kompaktów, czyli aparatów na stałe wyposażonych w jeden obiektyw. Problem polega na tym, że w tej grupie można spotkać aparaty, które oferują bardzo dobrą jakość zdjęć, jak również takie, które produkują obrazy niewiele różniące się jakością od uzyskiwanych z telefonów. Bardzo różne są też rozmiary i jakość matryc oraz rodzaje obiektywów montowanych w kompaktach. Zalety tych aparatów to niewielkie rozmiary oraz przystępne ceny.

Jaki aparat wybrać? Wydaje się, że obecnie najrozsądniejszym wyborem aparatu fotograficznego wy-



korzystywanego do celów dokumentalnych jest bezlusterkowiec. Ten rodzaj aparatu oferuje stosunkowo dobrą lub bardzo dobrą jakość zdjęć, nie zajmuje zbyt dużo miejsca, a liczba dostępnych modeli i optyki ciągle rośnie. Dobrym wyborem będzie też zaawansowany kompakt. Jednak należy unikać aparatów wyposażonych w tak zwany superzoom, czyli obiektyw o bardzo dużym przybliżeniu. Do tej pory nie udało się skonstruować obiektywu o dużym zakresie ogniskowych, a jednocześnie oferujących dobrą jakość optyczną. Lepiej wybrać aparat z zoomem 4–5x niż 80x.

Najważniejsze jest światło

Kiedy jest ciemno, nie da się zrobić zdjęcia – to oczywiste. Najlepsze jest światło słoneczne i trzeba starać się, aby wykorzystywać je zawsze, kiedy to jest możliwe. Przykładem może być wykonanie zdjęcia uczestników jakiegoś spotkania. Grupę ludzi lepiej jest sfotografować na zewnątrz, przy świetle słonecznym. Najlepiej, żeby to światło nie było zbyt ostre i nie tworzyło zbyt mocnych cieni i kontrastów. Grupę najlepiej ustawić w rozproszonym świetle (niezbyt głębokim cieniu). Jeśli takie miejsce nie jest dostępne, to można grupę ustawić pod kątem do promieni słonecznych. Bardziej zaawansowani fotografowie często wykonują tego typu zdjęcia pod światło, jednak aby takie zdjęcie było odpowiednio naświetlone, trzeba użyć lampy błyskowej lub powierzchni odbijającej naturalne światło. Wymaga to pewnej wprawy. Wiele aparatów oferuje specjalne tryby pracy pod ostre światło. Warto z nich korzystać, ale wcześniej wypróbować ich działanie. Fotografowanie pod ostre światło najczęściej skutkuje tym, że fotografowany obiekt jest ciemny, a tło jasne. Takie zdjęcie jest trudne do uratowania w późniejszej obróbce. Podobne uwagi dotyczą też zdjęć portretowych.

Bardzo cennym pomocnikiem przy wykonywaniu fotografii, zwłaszcza grupowej, jest statyw. Mając niezbyt ciężki aparat, można wyposażać się w dość lekki statyw. Aparat ustawiony na nim nie będzie się poruszał, co poprawi ostrość fotografii. Używając samowyzwalacza, fotograf będzie mógł też dołączyć do fotografowanej grupy. Bez statywu taka operacja byłaby niemożliwa lub trudna. Wybierając statyw, trzeba pamiętać, aby dobrać jego nośność do wagi aparatu.

Oczywiście portret grupowy czy pojedynczej osoby to niejedyne sytuacje fotograficzne. Jest ich bardzo wiele, różne są też warunki oświetleniowe. Generalnie należy unikać fotografowania pod ostre światło, a zwłaszcza sytuacji, w której słońce (lub inne mocne źródło światła) znajduje się w kadrze. Spada wtedy kontrast, a na obrazie mogą pojawić się flary. Nie należy też zbyt często polegać na stabilizacji obrazu, w którą coraz częściej wyposaża się aparaty i obiek-

tywy. Optyczna stabilizacja może być pomocna w słabych warunkach oświetleniowych, w fotografii krajobrazu lub obiektów, które nie poruszają się. Natomiast nie pomoże, kiedy obiekty fotografowane są w ruchu. Wiele aparatów, zwłaszcza prostszych i tańszych, wyposaża się w tak zwaną cyfrową stabilizację obrazu. Najlepiej ją wyłączyć, bo może przynieść więcej szkód niż korzyści – to również jeden z zabiegów marketingowych.

W przypadku fotografowania we wnętrzach warto postarać się o to, aby włączyć wszystkie dostępne tam światła. We wnętrzach zwykle jest zbyt ciemno, a lampa błyskowa wbudowana w aparat nie zawsze ma taką moc, aby dobrze naświetlić ujęcie. Poza tym lampa z aparatu najczęściej świeci wprost na fotografowany obiekt, a to powoduje powstawanie dużych kontrastów i „spłaszczenie” zdjęcia. Włączone światła rozświetlą scenę, osłabiają kontrasty. Spowodują też, że lampa błyskowa nie będzie pracować z maksymalną mocą, co dobrze wpłynie na jej żywotność i oszczędzi baterie.

Jakie ustawienia aparatu będą najlepsze? Do zwykłej fotografii w większości przypadków wystarczy tryb automatyczny oferowany przez niemal każdy aparat (przeważnie oznaczony zielonym piktogramem lub napisem AUTO). W tym trybie wszystkie ustawienia dobrane są automatycznie bez ingerencji użytkownika, którego zadaniem jest jedynie przyciśnięcie spustu migawki w odpowiedniej chwili. Bardziej zaawansowani fotografowie użyją jednego z trybów półautomatycznych lub trybu manualnego, jeśli aparat taki oferuje. Nie należy używać tak zwanych trybów kreatywnych, które są dostępne w większości obecnie produkowanych aparatów. Ingerując one w zdjęcie na tyle mocno, że nie będzie nadawało się do późniejszego wykorzystania.

Ekran i papier...

to dwa różne światy. To, co dobrze wygląda na ekranie, wcale nie musi nadawać się do druku wysokiej jakości. Obecnie najczęściej spotykane ekrany monitorów komputerowych mają wymiary 1920 x 1080 pikseli (czyli tak zwany Full HD), takie też mają ekrany telewizorów Full HD. Ekrany popularnych laptopów przeważnie wyposażone są w matryce o rozmiarach 1280 x 800 pikseli lub zbliżonych. W druku zdjęcie o wielkości 1920 x 1080 pikseli będzie miało rozmiar ok. 160 mm x 90 mm, czyli mniejszy niż 1/4 powierzchni kartki formatu A4 (w przybliżeniu rozmiar kartki pocztowej), jest to ułamek powierzchni ekranu monitora. Powodem jest różnica odległości, z jakiej patrzymy na ekran komputera – ok. 60 cm i na kartkę papieru – ok. 30 cm. Z mniejszej odległości jesteśmy w stanie rozróżnić większą ilość szczegółów,

w związku z tym druk musi być bardziej dokładny niż obraz na ekranie, a ściślej mówiąc – najmniejsze elementy tworzące obraz (piksele) dla druku muszą być ułożone dużo gęściej.

Problemy z uzyskaniem odpowiedniego rozmiaru zdjęcia do druku pojawiają się również, kiedy zdjęcie trzeba pobrać z Internetu. Fotografie do sieci przygotowuje się specjalnie, aby ładnie wyglądały na ekranie i nie zabierały zbyt dużo miejsca oraz szybko przesyłały się przez sieć. Portale społecznościowe, jak najpopularniejszy z nich Facebook, nie przechowują zdjęć w ich oryginalnych rozmiarach, jakie zostały przesłane. Najczęściej dokonywane jest zmniejszenie zdjęcia (Facebook zmniejsza zdjęcie do maksymalnie 2048 pikseli na dłuższym boku) oraz tak zwana rekompresja. Chodzi o to, że zdjęcia w ogromnej większości przesyłane i gromadzone są w postaci plików JPEG. Jest to rodzaj kompresji stratnej, której stopień można regulować. Kompresja stratna oznacza, że część informacji ze zdjęcia zostaje usunięta w celu zmniejszenia rozmiaru pliku. Jeśli stopień kompresji jest wysoki, to takie straty zaczynają być widoczne nawet na ekranie, a w druku uwidaczniają się jeszcze bardziej. Facebook automatycznie stosuje bardzo wysoki poziom kompresji, co oznacza mocne pogorszenie jakości.

Jaka wielkość zdjęcia będzie najlepsza? Stronę formatu A4, czyli taką, jak w „Pasjach”, bez problemów wypełni zdjęcie z aparatu z 10–12-megapikselową matrycą, jeśli jest ono wykonane w pionie. Najczęściej jednak mamy do czynienia ze zdjęciami poziomymi. Jeśli chcemy takim zdjęciem wypełnić całą stronę, to powinno mieć ono co najmniej 16 megapikseli. Obecnie rzadko spotyka się aparaty o mniejszych matrycach niż 12 megapikseli, jednak należy pamiętać o ograniczeniach, jakie niesie ze sobą miniaturyzacja, o których była mowa wcześniej. W praktyce często okazuje się, że zdjęcie z 16- czy 20-megapikselowego współczesnego smartfona wygląda dużo gorzej niż zdjęcie z wiekowej 10-megapikselowej lustrzanki wyposażonej w dobry obiektyw. Aparat należy ustawić tak, żeby nie ograniczać wielkości zdjęć, czyli na maksymalny możliwy rozmiar. Również kompresja JPEG powinna być ustawiona na jak najlepszą jakość, a nie na największą kompresję. Ustawienia takie opisane są szczegółowo w instrukcji obsługi każdego aparatu.

Na koniec

Róbmy dużo zdjęć! Im więcej ujęć, tym większy wybór. Możliwość wyboru jest bardzo ważna, ponieważ zawsze mogą zdarzyć się zdjęcia słabe technicznie lub zrobione w niewłaściwym momencie. Na przykład fotografowana osoba będzie miała zamknięte oczy, co zdarza się dość często. Ważna jest też odpowiednia i ostra selekcja. Nie ma sensu gro-

madzenie dużych, niewyselekcjonowanych zbiorów fotografii. Owszem, na wybranie odpowiednich ujęć trzeba poświęcić trochę czasu, ale za to w kolekcji zostaną tylko te najlepsze. W efekcie taki zbiór nie zajmie za dużo miejsca w pamięci komputera, będzie łatwiej się w nim zorientować, a ci, którzy będą go oglądać, nie będą zmęczeni i przytłoczeni zbyt wieloma zdjęciami.

Na co zwrócić uwagę? Przede wszystkim, czy udało się pokazać to, co zaplanował sobie fotograf, albo czy zdjęcie przedstawia jakąkolwiek wartość dokumentalną. Druga sprawa to poziom techniczny. Należy sprawdzić, czy główny element zdjęcia ma dobrą ostrość. W tym celu na ekranie komputera należy obejrzyć zdjęcie w rozmiarze 100%. Przeglądarki grafiki z reguły podają informację o powiększeniu wyświetlanego obrazu. Powiększenie 100% oznacza, że 1 piksel na ekranie to 1 piksel zdjęcia, powiększenie 50% oznacza natomiast, że 1 piksel na ekranie to 4 piksele ze zdjęcia (2 pionowe i 2 poziome). Wszelkie rozmycia wywołane zbyt szybkim ruchem lub nietrafieniem systemu ustawiania ostrości we właściwy punkt raczej dyskwalifikują zdjęcie. Oczywiście ostre mają być obiekty, które są ważne dla obrazu. Nieostrości w tle nie mają takiego znaczenia, a nawet często są pożądane. Warto też usunąć z kolekcji powtarzające się ujęcia, nawet mimo tego, że są dobre technicznie.

Warto wspomnieć o jeszcze jednej sprawie, często pomijanej. Chodzi o sposób gromadzenia zbiorów fotografii i innych istotnych danych. Często zdarza się, że ważne, gromadzone przez lata zbiory zdjęć przechowywane są na dysku komputera tylko w jednym miejscu – bez tworzenia kopii zapasowych. Takie postępowanie może skończyć się przykrą niespodzianką – utratą kolekcji. Przecież awarie dysków twardych zdarzają się i nie są to przypadki jednostkowe. Najlepiej zabezpieczyć się za pomocą kopii zapasowej na zewnętrznym dysku twardym. Oprogramowanie do automatyzacji tworzenia kopii zapasowych często dostępne jest wraz z zakupem dysku zewnętrznego, można taki program pobrać z Internetu, systemy operacyjne komputerów też oferują możliwość tworzenia



automatycznych kopii. Można też kopiować archiwum ręcznie. Można również gromadzić zdjęcia w coraz popularniejszych „chmurach”, jednak z powodu dużych ilości danych ten sposób może okazać się niewystarczający i niewygodny.

Dla zainteresowanych tematem fotografii podajemy kilka miejsc w Internecie, które mogą okazać się przydatne:

- www.optyczne.pl – fachowe testy sprzętu, forum dyskusyjne o fotografii
- www.fotopolis.pl – popularny portal o fotografii
- www.szerokikadr.pl – porady dotyczące fotografii dla początkujących i zaawansowanych
- fotoblogia.pl – porady i opisy sprzętu
- www.fotografuj.pl – porady i opisy sprzętu
- photobucket.com – portal do gromadzenia i dzielenia się fotografiami
- morguefile.com – portal do dzielenia się fotografiami; materiały tam zamieszczone można pobierać i używać za darmo



Wachtelhund

– towarzysz łowów

Tekst: Filip Sioch

Zdjęcia: Olga Sioch, Małgorzata Szlendak

Polowanie bez psa jest nieskuteczne, w pewnych warunkach niezgodne z prawem, a przede wszystkim ma niewiele wspólnego z etyką. Struktura społeczna łowców na przestrzeni ostatnich lat mocno się zmieniła. Wielu z nas to mieszkańcy miast, niekiedy żyjący w niewielkich mieszkaniach. Czy te ograniczenia muszą wykluczać możliwość posiadania psa myśliwskiego? Otóż nie! Wystarczy odpowiednio dobrać rasę do naszych możliwości i potrzeb. W moim domu od zawsze były jamniki, ale pracowały wyłącznie jako tropowce, zawsze chciałem czegoś więcej. Zacząłem bacznie przyglądać się podopiecznym kolegów, różnym rasom, stylom pracy i w końcu decyzja padła na płochacza niemieckiego, wybór, który okazał się bardzo trafiony...

Płochacz niemiecki

Deutscher Wachtelhund to średniej wielkości pies grupy ósmej, w której sklasyfikowano aportery, płochacze i psy wodne. Jego długa, lśniąca sierść może być maści brązowej, czerwonej lub w dereszowatych

odmianach. Jest psem wesołym, energicznym, chętnie uczącym się, a przede wszystkim jego walory użytkowe pozwalają uznać go za psa wszechstronnego. Opanowanie i wrodzona łagodność czynią go przy okazji doskonałym psem rodzinnym.

Biorąc pod uwagę fakt, że przeciętny myśliwy na naszej ziemi poluje głównie na zwierzynę grubą, strzelając od kilku do nawet kilkudziesięciu sztuk rocznie, ponadto od czasu do czasu wyskoczy na kaczki i kilka razy w roku spróbuje polowania na bażanty, Wachtelhund będzie odpowiadał potrzebom większości, nawet bardzo wymagających nemrodów.

Wybór szczeniaka

W Polsce, zwłaszcza w północnej jej części, znajdziemy kilka doskonałych hodowli, regularnie oferujących szczeniaki ze starannie zaplanowanych miotów. Warto prześledzić rynek, sprawdzić osiągnięcia psów z danej hodowli, warto też skorzystać z rekomendacji doświadczonych kolegów. Wbrew temu, co usłyszeć możemy z ust kynologicznych ignoran-

tów, dobre geny to lwia część sukcesu w układaniu czworonoga. Wybierając szczenię ze sprawdzonej hodowli, unikniemy rozczarowań i niepotrzebnych stresów czy wizyt u weterynarza.

Następnym krokiem będzie sumienne, systematyczne i metodyczne szkolenie. Kiedy zacząć? Od pierwszego dnia po odbiorze szczeniaka! Po szczegółowe plany szkolenia psa myśliwskiego odsyłam do powszechnie dostępnej literatury fachowej. Na szczególną uwagę zasługuje książka „Płochacze” Erwina Dębinioka. W mojej ocenie to pozycja obowiązkowa.

Żeby móc w pełni cieszyć się wspólnymi łowami, między przewodnikiem a psem musi być pełne zrozumienie i bezwzględne posłuszeństwo wobec tego pierwszego. W przeciwnym razie polowanie, zamiast sprawić przyjemność, spowoduje frustrację właściciela, a niekiedy zepsuje łowy pozostającym uczestnikom.

Są, co do zasady, dwie szkoły nauki. Pierwsza – angielska – zakłada, że przez jak najczęstszy kontakt psa z łowiskiem i zwierzyną nabierze on niezbędnego doświadczenia, druga – niemiecka – opiera się na bezwzględnym posłuszeństwie i twierdzi, że pies wpierw uczy się wszystkiego w sztucznych warunkach, a dopiero później rusza na prawdziwe polowanie. Osobiście jestem zwolennikiem tej drugiej. Przemawia za tym fakt, że płochacza podczas typowej dla siebie pracy trzymać będziemy musieli w zasięgu tak zwanego strzału śrutowego. Wymagać to będzie „kierowania” psem gestem, głosem lub gwizdkiem, a razie potrzeby zatrzymania go w miejscu. Zatrzymanie psa w momencie, gdy ma uciekającą sarnę czy startującego bażanta „na nosie”, jest bardzo trudne i wymaga wielu godzin treningów.

Swój plan szkolenia dostosowałem do kalendarza imprez kynologicznych i niejako „pod regulamin”. Niestety, wielu kolegów nie dba o udział swoich psów w próbach czy konkursach pracy psów myśliwskich, uznając je za zbędny element łowieckiego życia ich czworonogów. Pomimo że trudno nie zgodzić się z faktem, że są to sprawdziany w sztucznych warunkach, często odbiegających od rzeczywistego polowania, to pozwalają poznać poziom wyszkolenia oraz cech wrodzonych psów. Ponadto wymuszają na przewodnikach trzymanie dyscypliny szkolenia.

Każdy konkurs pracy zaczyna się od konkurencji „Posłuszeństwo”. Forma zależy od rodzaju konkursu, niemniej owo posłuszeństwo jest elementem, na którym pracujemy od początku naszej przygody z psem i to szkolenie nie kończy się już nigdy. Szczególnie Wachtelhundy na bieżąco sprawdzają granice, które mogą przekroczyć. Mój pies czyni to nader często, pomimo że próby spełniają na niczym. A może tym razem się uda? Nie? To może jutro...

Do „Prób polowych małych ras” możemy przystąpić, gdy nasz podopieczny skończy dziewięć miesięcy. Do tego czasu powinien przychodzić na komendę do przewodnika, chętnie wchodzić do wody i pływać (z tym prawie żaden Wachtel nie ma problemu) oraz wyparowywać zwierzyną drobną. Sprawdzana jest też reakcja na strzał. Warto do tego czasu nauczyć psa zatrzymania na gwizdek, bo pogoniwszy za wyparowaną zwierzyną (co nie jest błędem) może nie wrócić w regulaminowym czasie.

Jeśli nasz pies potrafi stawić czoła tym zadaniom, jest już gotowy do prostej pracy w łowisku. Warto jak najczęściej dawać mu okazję do nawąchiwania tropów zwierzyny, a w kontrolowanych warunkach do spotykania dzikiego ptactwa.

Cały czas ćwiczymy karny aport. Początkowo na sztucznych, lekkich koziołkach, potem coraz cięższych aż do tusz ubitego ptactwa, najlepiej na początek tuszek schłodzonych. Aportowanie warto ćwiczyć jak najczęściej w formie zabawy, nawet na każdym spacerze. Wachtelhundy to uwielbiają, a przechadzki takie będą o wiele ciekawsze zarówno dla psa, jak i przewodnika. Ważna jest metodyka. Początkowo pracujemy na smyczy, w domu, na podwórku, stopniowo przechodząc do pracy w realnych warunkach, czyli w polu.



Gdy pies opanuje już aport, wprowadzamy włóczki. Na początku krótkie. Ważne, żeby pies każdorazowo osiągał sukces, wzmacniając tym samym chęć do pracy. Z czasem wydłużamy włóczki i wykonujemy więcej załamań. Praca na włóczkach wzmacnia w psie potrzebę używania dolnego wiatru, co jest nie bez znaczenia dla dalszych etapów szkolenia.

Kolejnym krokiem jest przygotowanie płochacza do pracy tropowca, czyli systematyczne szkolenie na sztucznie sfarbowanym tropie. Temu elementowi polecam poświęcić jak najwięcej uwagi, gdyż umiejętność tropienia jest kluczowa w najbardziej kryzysowych sytuacjach, tj. gdy mamy postrzałka i trzeba go szybko i skutecznie odnaleźć. Niektórzy szkoleniowcy twierdzą, że pies uczony na prawdziwym postrzałku może nie chcieć pracować na sztucznym tropie, lecz pies szkolony na tropie sztucznym bez trudu poradzi sobie w rzeczywistej sytuacji. Warto odnotować, że praca na konkursie tropowców jest znacznie trudniejsza niż większość sytuacji, z którymi spotkamy się w łowisku. Płochacze są niezłymi tropowcami, a przy odpowiednim szkoleniu mogą stać w szranki z czołowymi specjalistycznymi rasami. Jeśli więc nasz podopieczny zaliczy konkurs tropowców z sukcesem, możemy być spokojni, że poradzi sobie na polowaniu. Pamiętajmy jednak, by nie było zbyt długich przerw między pracami, warto co jakiś czas przypominać psu „o co chodzi”.

Płochacz niemiecki to także wyśmienity dzikarz, choć sprytem ustępuje terierom, a siłą psom gończym. Doskonały wiatr i wielka pasja sprawiają, że świetnie radzi sobie w potyczkach z czarnym zwierzem. Przez dwa sezony wykorzystywałem swojego Wachtla jako dzikarza, widząc jak dużą radość mu to sprawia. Niesie to jednak za sobą pewne niebezpieczeństwa, o których trzeba pamiętać. Po pierwsze, pies pracujący jako dzikarz może mieć trudności z precyzyjnym, metodycznym trzymaniem tropu sfarbowanej zwierzyny i będzie wykazywał tendencje do pracy górnym wiatrem. Po drugie, podczas polowania na pióro trudniej trzymać go w ręce, zmuszając do pracy na pożądanym dystansie, bo będzie miał zapędy do dalekiego przeszukiwania terenu, jak podczas pędzenia. Biorąc pod uwagę powyższe, obecnie zrezygnowałem z podkładania psa w miocie, pozostawiając sobie do dyspozycji doskonałego płochacza, świetnego aportera i poprawnego tropowca oraz przede wszystkim mojego najwspanialszego kompana łowów i przyjaciela rodziny.

Zachęcam Koleżanki i Kolegów, żeby przy wyborze psa myśliwskiego wzięli pod uwagę Wachtelhunda jako uniwersalnego, wiernego i bardzo skutecznego towarzysza łowów.





Z nożem i łukiem... za pan brat

Rozmowa z Andrzejem Szkwarkowskim, pasjonatem nożownictwa i łucznictwa

Rozmawiał: Jacek Seniów

Zdjęcia: Jacek Seniów i archiwum Andrzeja Szkwarkowskiego

– Dlaczego noże?

– Wytwarzanie noży zaczęło się w zasadzie przez przypadek. Oczywiście fascynacja ostrymi narzędziami była zawsze. Kupowanie szczyrzyków na bazarach, po czym ich modyfikacje, by narzędzia były bardziej użyteczne dla mnie. Pierwsze próby ze szlifowaniem, na szlifierce stołowej dziadka. Jednak nie były to ani przemyślane projekty, ani stal użyta do nich nie była odpowiednia.

Poważnie tematem zainteresowałem się około 2005 roku i jak wspominałem był to przypadek. Od zawsze chciałem strzelać z łuku. Jako dziecko robiłem łuki z leszczyny lub dzikiego bzu, na podwórku u dziadka. Strzały też z odrostów dzikiego bzu. To były piękne lata bez troski. Ze względu na przeprowadzkę, szkołę, ogólnie czas dorastania, łucznictwo zeszło na dalszy plan. Wielki powrót był na studiach. Na politechnice powstała sekcja łucznicza. Niestety, było tylu chętnych, że nie udało mi się zapisać. Zamiast łucznictwa wybrałem zajęcia z szermierki, gdzie poznałem kilka pozytywnie zakręconych osób. Jedna z nich strzelała z łuku w bractwie rycerskim. No i się zaczęło – jeździłem wszędzie gdzie się dało. Cały wolny czas spędzałem na treningach, a jako student miałem sporo czasu. Na turniejach rycerskich trzeba było mieć całe oporządzenie, strój, namiot, łuk. Cały sprzęt stylizowany na epokę, którą się odtwarzało, łącznie z nożem :D. Ze względu na brak takich noży na rynku, zacząłem je robić. Najpierw dla siebie i znajomych, później także dla innych. Taki był początek.

Robiąc noże, szukałem odpowiedzi w internecie, magazynach, na forach – wszędzie, gdzie się dało. Poznawałem ten świat. Projektując i szlifując własne noże, poznawałem siebie, swoje ograniczenia, a także możliwości.

– Jakie były najbardziej fascynujące i najtrudniejsze momenty w wykonywaniu noży?

– Zrobienie noża to nie tylko kupno kawałka blachy, szlif, hartowanie, klepki na rękojeści i ostrzenie. U mnie tak to nie wygląda. Zawsze zastanawiam się, do czego nóż będzie używany i przez kogo, jakie są preferencje co do stali, materiału rękojeści. To wszystko ma znaczenie dla wyglądu noża. Drugim, równie istotnym zagadnieniem, jest dobór stali. Jej parametry, rdzewność oraz możliwości obróbki cieplnej, która jest chyba najważniejszym parametrem. Od niej zależy, czy nóż będzie dobrze i długo ciął.

Najbardziej fascynujący moment podczas wykonywania noża to z jednej strony projekt, dobór materiałów, z drugiej zaś ostatnie przetarcie ściereczką. Wtedy widać gotowe dzieło w całej okazałości i czuje się dużą satysfakcję.

Jeśli jest moment najpiękniejszy, musi być i ten najtrudniejszy. Wszystko zależy od projektu. Jeśli klinga jest kuta, to trzeba bardzo uważać, by nie przegrzać materiału. Następnym trudnym momentem jest takie wykonanie szlifów, by był zgodny z założeniami projektowymi. W zasadzie na każdym etapie – od projektu do końcowego produktu – trzeba uważać. Można na przykład źle nawiercić otwory, odwrotnie przykleić okładki, czy zapomnieć o przekładce.

– Dla kogo są te dziełka sztuki?

– Noże, które wykonuję, są w zasadzie dla wszystkich. Czasem jest to mój autorski projekt, który się komuś spodobał. Czasami piszą do mnie osoby, które by chciały, bym sporządził dla nich nóż według ich projektu. Wtedy zaczyna się negocjowanie. Zlecający nie zawsze zdaje sobie sprawę z ograniczeń. Mogą to być karby, ułatwiające pęknięcie, lub złe proporcje. Niezależnie od tego zawsze rozmawiam z klientem



i zazwyczaj udaje się wypracować kompromis. Papier przyjmie każdy projekt, ale w praktyce nie każda koncepcja warta jest realizacji. Częściej jednak mam wolną rękę w zrobieniu noża, ale to wcale nie bywa ułatwieniem. Wtedy muszę dopytać o preferencje, kierunek, w którym podążać podczas robienia projektu, oraz konsultować na bieżąco, by efekt finalny zadowolił klienta.

Każdy potrzebuje innego noża. Mogą to być noże myśliwskie, do bushcraftu, snycerskie, kuchenne. Nie dość, że każdy ma inne preferencje, to jeszcze przeznaczenie noża jest specyficzne. W domu są noże szefa kuchni, trybowniki, do krojenia warzyw, do ryb, każdy nie dość, że ma specyficzny kształt, to i szlif. W myślistwie ponadto służy do patroszenia, skórowania.

– Czy poza nożami także inne pasje?

– Oczywiście. Wcześniej pisałem o łucznictwie i jest to drugie hobby, któremu się oddaję, nie tylko strzelając rekreacyjnie, ale także zajmując miejsca na pudle. Strzelam z łuku tradycyjnego. Bez celowników, podstawek, mechanicznego spustu. Zawody odbywają się w terenie, najczęściej w lesie i to jest chyba najprzyjemniejsze. Największym moim sukcesem było zdobycie drugiego miejsca w łucznictwie tradycyjnym na Węgrzech, gdzie pokonałem mnó-

stwo wspaniałych łuczników z całego świata, bo były to mistrzostwa międzynarodowe.

W samym łucznictwie zastosowanie noża jest niewielkie. Natomiast przez to, że jest to łucznictwo terenowe, często turnieje 3D, nóż jest wtedy najlepszym przyjacielem. Jeśli nie trafi się w cel, trzeba grot wydłubać z drzewa. Natomiast później ognisko, smażone kiełbaski – zastosowań dobrego noża nie trzeba wymienić. Warto taki mieć, bo można polegać na nim.





TRZMIELEC

Kukułki w świecie owadów

Tekst: dr inż. Marcin Kadej i prof. dr hab. Dariusz Tarnawski

Zdjęcia: prof. dr hab. Dariusz Tarnawski

Trzmielec *Psithyrus* Lepeletier, 1833 to podrodzaj dużych (długość ciała do 35 mm), krępych pszczoł zaliczanych do rodzaju trzmiel *Bombus* Lep. (fot. 1, 2). Pasożytują na społecznościach innych gatunków swojego rodzaju. Z powodu odmiennej biologii i morfologii do niedawna były klasyfikowane w randze odrębnego rodzaju. W języku polskim owady te określane są nazwą trzmielec lub brzmik. Angielska nazwa cuckoo bumblebee stanowi połączenie dwóch wyrazów: „kukułka” i „trzmiel”.

Dla ich rozwoju niezbędne jest pasożytowanie na trzmielach żyjących w społecznościach. Zewnętrznie są bardzo do nich podobne [np. trzmielec czarny *B. (P.) rupestris* (F.) (fot. 2) do trzmiela kamiennika *B. (B.) lapidarius* (L.) (fot. 3)], ale prowadzą odmienną

strategię rozrodczą. Trzmielec mają jednoroczny cykl życiowy, ściśle skorelowany z cyklem życiowym swoich gospodarzy. Młoda samica trzmielca, zaplemniona pod koniec lata przez kilka samców, wychodzi z zimowego schronienia (tzw. zimowli) na przełomie wiosny i lata, kiedy gniazda trzmieli są już w pełni rozwoju. Po odnalezieniu takiego gniazda zajmuje je, przejmując rolę dominującą wobec matek i robotnic gospodarza¹. Niszczy jaja i młode larwy trzmieli, po czym składa własne jaja, a jej potomstwem opiekują się starsze robotnice gospodarza. Jaja umieszcza w plastrach gospodarza. Z nich w ciągu tygodnia lęgną się larwy (czerwie), które są intensywnie karmione przez robotnice gospodarza, a po dwóch tygodniach tworzą kokony i przepoczwarczają się. Roz-



wój od jaja do owada doskonałego trwa od 28 do 40 dni. Z jaj wylęgają się tylko samice i samce, które po kopulacji kontynuują cykle analogiczne do cykli życia dojrzałych samic i samców trzmieli. U trzmielców nie występuje kasta robotnic. Korzystają one z robotnic gatunku, na którym pasożytują. Zimują tylko zaplemnione samice, samce jesienią giną. Tylko nieduża część gniazd trzmieli jest opanowywana przez samice trzmielców.

Na świecie poznano ponad 40 gatunków trzmielców, a w Polsce dotychczas stwierdzono 9. Są to owady gęsto owłosione, zwykle jaskrawo ubarwione, ale często z przewagą czerni lub też całkiem czarne, bardzo podobne do trzmieli [np. trzmieliec czarny *B. (P.) rupestris* (F.) (fot. 2) do trzmiela kamiennika *B. (B.) lapidarius* (L.) (fot. 3)] – nawet barwą włosków upodabniają się do gatunków, na których pasożytują². Samice różnią się słabszym owłosieniem ciała (głównie wierzchniej strony odwłoka), odwłokiem podwiniętym ku jego spodniej stronie i zasadniczo bardziej przyciemnionymi skrzydłami. Ponadto trzmielce można rozpoznać po braku koszyczka na goleni trzeciej pary nóg (pozostałym trzmielom i pszczołom służy on do gromadzenia i przenoszenia pyłku).

W ekosystemie pełnią funkcję podobną do trzmieli – są bardzo wydajnymi zapylaczami; w ciągu dnia jeden osobnik odwiedza kilka tysięcy kwiatów. Trzmielce (i trzmiele) mają w aparacie gębowym języczek o wiele dłuższy (*proboscis*) niż pszczoły miod-

ne i inne zapylacze, dzięki czemu mogą zapylać te gatunki roślin, których kwiaty z „pożytkowego” punktu widzenia są dla tamtych niedostępne, np. koniczy-ny, lucerny czy naparstnice.

Trzmielce są bardzo łagodne i prawie nigdy nie atakują ludzi. Najczęściej przy spotkaniu z człowiekiem uciekają. Przyduszone – mogą lekko użądlić, jednak zdarza się to bardzo rzadko i jest mniej bolesne niż użądlenia trzmieli. Ich żądła nie mają haczyków, owady nie pozostawiają ich w skórze i dlatego ilość przekazanego jadu jest minimalna, a trzmielce nie giną po użądleniu.

¹ Samice trzmielców nie mają swoich robotnic, dlatego atakują gniazda trzmieli. Atak i zajęcie gniazda odbywa się na dwa sposoby: łagodny albo agresywny. Pierwszy polega na stopniowym aklimatyzowaniu się w gnieździe przy jednoczesnym unikaniu kontaktu z gospodarzami – po pewnym czasie pasożytnicza samica trzmielca akceptowana jest przez robotnice, a następnie przez matkę gospodarza, która jednak na skutek spowodowanego tym stresu ginie. Sposób agresywny zajęcia gniazda polega na zabiciu matki i stopniowym zabijaniu części robotnic przez samicę trzmielca, co trwa do momentu jej zaakceptowania (czasami jednak może być zabita przez gospodarza).

² Np. bardzo podobny do trzmiela ziemnego *Bombus (B.) terrestris* (L.) jest jego pasożyt gniazdowy – trzmieliec ziemny *B. (P.) vestalis* (Four.), do trzmiela gajowego *B. (B.) lucorum* (L.) – trzmieliec gajowy *B. (P.) bohemicus* (Seidl), do trzmiela ogrodowego *B. (B.) hortorum* (L.) – trzmieliec ogrodowy *B. (P.) barbutellus* (Kirby), a do trzmiela kamiennika *B. (B.) lapidarius* (L.) – trzmieliec czarny *B. (P.) rupestris* (F.).

Fot. 1. Samica trzmielca czarnego *B. (P.) rupestris* (F.) zbierająca pożytek z kwiatów ostrożnia błotnego.

Fot. 2. Trzmiel kamiennik *B. (B.) lapidarius* (L.) zbierający pożytek z kwiatów rdestu wężownika.

Fot. 3. Samiec trzmielca gajowego *B. (P.) bohemicus* (Seidl) zbierający pożytek z kwiatów ostrożnia błotnego.



Fot. 2



Fot. 3

Wołowski Bieg w Naturze

Tekst: Jacek Seniów
Zdjęcia: Tomasz Stasiak

Jesiennymi barwami i słońcem malowany ostatni dzień września zgromadził w Szkółce Leśnej Nadleśnictwa Wołów w Tarchalicach miłośników biegania nie tylko z Wołowa i okolic czy innych miejscowości Dolnego Śląska, ale również z Wielkopolski. Główni organizatorzy III Biegu w Naturze Nadleśnictwa Wołów to także Stowarzyszenie Wołów Biega oraz Ośrodek Sportu i Rekreacji w Wołowie. Patronat medialny nad imprezą objęło Radio Wrocław.

Kilka lat temu burmistrz Wołowa Dariusz Chmura przekonał licznych miłośników tej formy aktywności z Wołowa i okolic do zorganizowania ich działań i pasji – tak więc powstało Stowarzyszenie Wołów Biega. Trzy lata temu w maju wystartował pierwszy „duży” bieg wołowski – Bieg Flagi Narodowej, jesienią zaś pierwszy Bieg w Naturze Nadleśnictwa Wołów. Tak zapoczątkowano tradycję biegów wołowskich, a przy Nadleśnictwie zaczął działać Klub Biegaczy Leśników. Działania te zainspirowały szerszą współpracę pomiędzy powiatami milickim, trzebnickim

i wołowskim, której owocem jest 150 kilometrów ścieżek rowerowych służących również biegaczom. Ba, niektórzy mówią już o maratonie. Dlaczego nie?! Zapał i konsekwencja organizatorów mogą to urzeczywistnić.

Bieg w Naturze spełnia wiele celów społecznie użytecznych, a jednym z nich jest wspomnienie Wielofunkcyjnej Placówki Opiekuńczo-Wychowawczej „Wiosna” w Krzydlinie Małej, prowadzonej przez Zgromadzenie Sióstr Szkolnych de Notre Dame. Działa ona od 1943 roku i obecnie opiekuje się 56 dziećmi w wieku od pół roku do lat piętnastu. Dyrektor placówki s. Agata (Małgorzata Wójcik) bardzo chwali wieloletnią współpracę z Nadleśnictwem Wołów. Ciepło też wypowiada się o wrocławskich myśliwych od dawna bardzo aktywnie działających w okolicznych placówkach szkolnych i wychowawczych z programem „Ożywić Pola”. Grupa towarzyszących jej dzieci, które dały piękny występ sceniczny dla zawodników i niebiegających miłośników biega-



nia, znakomicie się czuła wśród zieleni mundurów leśników i myśliwych. Przez cały czas biegu aktywnie działała loteria fantowa na rzecz Domu Dziecka „Wiosna”. Każdy los wygrywał, ale przede wszystkim wygrywały dzieci i wspólne idee, które zgromadziły obecnych tu ludzi.

Jedną z instytucji, od lat współpracujących z Nadleśnictwem Wołów i myśliwymi, jest Zakład Karny w Wołowie, będący współorganizatorem Biegów w Naturze. Leśnicy, z których wielu to myśliwi, od lat prowadzą przyrodnicze zajęcia edukacyjne dla skazanych. Ważnym elementem resocjalizacji jest praca więźniów na rzecz środowiska naturalnego, jak sprzątanie lasu czy wykonywanie budek dla ptaków. Dyrektor placówki Robert Kucze-
ra podkreśla płynące z tego liczne korzyści dla pracy wychowawczej. Na rzecz III Biegu w Naturze więźniowie wykonali promocyjne pamiątkowe ozdoby z drewna, które otrzymali uczestnicy.

Szkołka Leśna Tarchalice to nie tylko nowoczesny obiekt gospodarczy, ale również Centrum Edukacji Ekologicznej Nadleśnictwa. Taką też rolę pełniła w czasie imprezy wobec tłumnie zebranych osób towarzyszących zawodnikom. Dużą atrakcją była pre-



zentacja ptaków łowczych, czyli sokołów, w wykonaniu firmy Sokolnictwo GOA Radosława Milkowskiego. Mirosław Perucki, który ją prowadził, był zasypywany pytaniami. Szczególnie ze strony dzieci, które mogły zobaczyć na żywo sokoła wędrownego, pustułkę, puchacza bengalskiego, białozora, jastrzębia Harrisa czy roroga górskiego. Dowiedziały się także dlaczego i do czego człowiek szkoli i używa tych ptaków.

Liczni odwiedzający stoisko promocyjne Nadleśnictwa uzyskali wiele ciekawych informacji tak przyrodniczych, jak i związanych z zawodem leśnika. Leśnicy Zbigniew Szela, Dariusz Gała, Krzysztof Kusi czy Dariusz Olej byli do ich dyspozycji. Podob-





nie było na stoiskach kół łowieckich „Leśnik” Dębno i „Echo” Wołów. Wyjątkową atrakcją stanowiła strzelnica łucznicza prowadzona przez niezmordowanego i niezrównanego propagatora łucznictwa łowczego Koła Łowieckiego „Czapla” w Sułowie Waldemara Demskiego. Nie tylko dzieci tu szalały, dorośli też próbowali swoich sił, a zadowoleni byli wszyscy. Oprawę muzyczną zapewnił Zespół Sygnalistów Myśliwskich „Tryton” przy Zarządzie Okręgowym Polskiego Związku Łowieckiego we Wrocławiu.

Myśliwi muzycy występujący w zespole w dużej mierze wywodzą się z wrocławskiego Koła Łowieckiego „Jeleń”, dzierzawiącego obwody w powiecie wołowskim. Całości dopełniła znakomita, powszechnie przez uczestników spotkania chwalona, kuchnia myśliwska w wydaniu restauracji Gospoda Mariusza Kowalczyka z Obornik Śląskich, którą dostawą szlachetnego surowca wsparły koła łowieckie. Była to pyszna promocja dziczyzny podawanej tak na zimno, jak i na gorąco, a Nadleśnictwo znakomicie wpisało się w działania Lasów Państwowych zmierzające do promocji tego mięsa w społecznej świadomości kulinarnej.

Wspaniałą atmosferę sportową zapewnili startujący w różnych kategoriach zawodnicy. Wyjątkowy charakter tego spotkania i sprawna organizacja to niewątpliwie zasługa duszy imprezy dra Artura Dyrca, nadleśniczego Nadleśnictwa Wołów, który osobiście wszystkiego doglądał.







Zdjęcie: Łukasz Stokłosa



Najinteligentniejszy system komunikacji
dla myśliwych i przewodników psów



- ✓ Topograficzne i satelitarne mapy z całego świata automatycznie w aplikacji
- ✓ Pobieranie mapy do miejsc ze słabym sygnałem
- ✓ Monitorowanie nieograniczonej liczby psów i użytkowników
- ✓ Obserwowanie grupy podkładaczy przez funkcję Tracker - GRUPA
- ✓ Odtworzenie polowania krok po kroku.
- ✓ Żadnych problemów z nakładaniem się ID

TRACKER Dystrybucja:

F.U.H DEKA Dariusz Kasperkowiak
BearBusters Hunting Team
www.sklep.bearbusters.pl
bearbusters@wp.pl
+48 512 310 222
+48 502 547 491



CYRUS

CYRUS
CS 21


TRACKER